

KAMENA

LUBLIN

30.VI.1962

Nr 12 (250)

ROK XXIX

CENA 2 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN — BIAŁYSTOK — KIELCE — RZESZÓW

LUBLIN 1962

ZYGMUNT MOSTOWSKI

Przed rozpoczęciem Dni Lublina zwróciłem się z prośbą o wypowiedź do wiceprzewodniczącego Prezydium MRN, inż. Zygmunta Mostowskiego, biorącego aktywny udział w pracach Komitetu organizującego te uroczystości. Red.



WIEŻOWIEC PRZY ULICY UNICKIEJ

Fot. J. Trembecki

TO NIE BYŁ ROK JAŁOWY

MARIA BEHCZYC-RUDNICKA

TAK się przyjemnie dla nas zbiegły okoliczności, że właśnie na uroczyste Dni Lublina przypada Nr 250 „Kamena”. Dwieście pięćdziesiąt ab urbe condita, tj. od momentu założenia pisma przez Kazimierza Andrzeja Jaworskiego.

Liczba ta, uwzględniana przez konwencje jubileuszowe, wygląda może raczej skromnie w zestawieniu z podwójną przeszło liczbą numerów chociażby „Życia Literackiego”, wydanych w dwukrotnie mniejszym okresie istnienia. A jednak dwieście pięćdziesiąt to niemal. W ciągu 28 lat swego żywota, z których odpada blisko 6 lat letargu wojennego, „Kamena” borykała się z niepospolitymi trudnościami wszelkich kategorii. Rzutowały one rzecz prosta na częstotliwość jej ukazowania się. Historyk pisma zarejestruje, ile razy było ono w latach trzydziestych miesięcznikiem i kwartalnikiem, i znów miesięcznikiem, i kwartalnikiem. Jako owoc szlachetnej „inicjatywy prywatnej” opartej na kruchych dochodach poety i pedagoga. Przecięcie dopiero od 1952 r.

uzyskuje „Kamena” solidniejszą bazę materialną, początkowo w postaci zaledwie 50-tysięcznej dotacji Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Rok 1952. W dziejach „Kamena” przełomowy. Tu można zaszyfrować nastanie w bieżącym czerwcu już bardziej ważkiego jubileuszu: dziesięciolecia przejęcia pisma przez Lubelski Oddział Związku Literatów Polskich. Lecz nie bez kozery zwróciłam na wstępie uwagę na mikrojubileusz wynikający z numeracji. Elementarne działanie arytmetyczne wykazuje, że na ogólną liczbę 250 numerów — 166 ukazało się właśnie w ostatnich dziesięciu latach, czyli że wydano ich w tym czasie dwukrotnie więcej niż w poprzednim znacznie dłuższym okresie jednoosobowego zmagania się z przeszkodami finansowymi.

A oto jeszcze jeden wymowny wyznacznik odejścia: ze 166 numerów dziesięciolecia, na pierwsze pięć lat przypada 34, na ostatnie zaś — 132! Bo od 1 stycznia r. 1957 „Kamena” stała się dwutygodnikiem, zmieniając jednocześnie format z zeszyto-

wego na gazetowy. Z tego punktu linii rozwojowej, uzyskanej żarliwym i żmudnym wysiłkiem ludzi zgrupowanych dokoła naszego pisma, nie może już być odwrotu. Skoro więc dziś, przy święcie lubelskim, odsłaniamy na naszych łamach perspektywę lokalnych placówek, powiedzmy i pro domo sua: perspektywą „Kamena” jest zamiana jej na tygodnik. Niechże się zrealizuje jak najprędzej.

DUZO się ostatnio mówi i pisze o współpracy województw: białostockiego, kieleckiego, lubelskiego i rzeszowskiego. Ta współpraca stała się wielką szansą życiową „Kamena”. Jest rzeczą jasną bez komentarzy, jakie znaczenie ma dla naszego pisma uczynienie z niego organu obejmującego swoją problematyką i zasięgiem kolportażowym cztery województwa wschodnie. Toteż i przebieg tej sprawy uwydatnia wymownie coraz większą dynamikę rozwojową placówek.

Idea współpracy sąsiedzkiej na łamach „Kamena” zrodziła się w lecie ubiegłego roku i szybko znalazła zwolenników wśród działaczy kulturalno-społecznych całego regionu wschodniego. Gdzieś w zeszlornym czerwcu nawiązałam w tym celu kontakt z Waldemarem Babiniem, prosząc go o przygotowanie dla nas czterostoronicznej periodycznej wkładki z materiałami kieleckimi. Uzyskałam ceną zgodę. Niestety niestrudzony dyrektor UL w Rożnicy poważnie zachorował i rzecz się nieco odwleka. Ale równoległe prowadziliśmy pertraktacje z Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Białymstoku, zabiegając o analogiczną wkładkę drugiego sąsiada. I ta się zrealizowała najprędzej, już w numerze 19, z datą 15 października 1961 r., w czym niemała jest zasługa mgr Aleksandra Gabrusiewicza, organizatora materiałów białostockich, obecnie członka naszego Kolegium Redakcyjnego. Z kolei w sprawie wkładki rzeszowskiej pertraktowaliśmy z kierownikiem literackim Teatru im. Wandę Siemaszkowej, kol. Jerzym Pleśniarowiczem, który też stał się rychło entuzjastą współpracy. Summa summarum do końca r. 1961 mieliśmy trzy wkładki białostockie i po jednej wkładce kieleckiej i rzeszowskiej.

Tak się ta rzecz zaczęła skromnie, od wkładek. Ambicje nasze jednak sięgały dalej. W całej tej sprawie pomagał nam bardzo aktywnie kierownik Wydziału Kultury PWRN w Lublinie, artysta-malarz Edward Nadulski. Zaakcentował on specjalnie postulat współpracy z „Kamena” w porządku obrad dwóch spotkań kierowników wydziałów kultury PWRN województw: białostockiego, kieleckiego, lubelskiego i rzeszowskiego z przedstawicielami świata kulturalnego Lublina, w trzecim kwartale ub. r. Propozycja zyskała jednomyślną aprobatę obecnych. W związku z tym niżej podpisana odbyła kilka podróży do Białostoku, do Rzeszowa, do Kielc, na narady z czynnikami urzędowymi i z aktywistami społeczno-kulturalnymi. Spotkałam się też w gościnnej Rożnicy z literacką grupą młodych Ziemi Kieleckiej „Ponidzie”, która była pierwszą jaskółką z Kielecczyny na jednej z kolumn „Kamena”.

Równoległe toczyły się oficjalne pertraktacje i kształtowała się efektywna współpraca w naszym piśmie. Już od 1. I. 62 r. umieszciliśmy pod wiatłą odważnie: LUBLIN — BIAŁYSTOK —

(Dokończenie na str. 12)

W bieżącym roku obchodzimy po raz trzeci „Dni Lublina”, które stały się pomostem łączącym tradycje wieków przeszłych z teraźniejszością. Uroczystości „Dni Lublina”, będące częścią obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego, mają na celu przegląd osiągnięć naszego miasta w dziedzinie życia gospodarczego i kulturalnego z jednej strony, z drugiej zaś ukazanie perspektywy rozwojowych naszego miasta. Trudno oczywiście pokazać całokształt jego życia we wszechstronnych przejawach, będą przedstawione tylko fragmenty, które naszkicują obraz tego, co przeżywamy i do czego dążymy.

Chodzi nam o pokazanie naszego miasta w realizacji zadań wynikających z planu 5-letniego. Kierunki planowego rozwoju miasta omówiła referaty na uroczystej sesji MRN, jak i na wystawie zorganizowanej w „Domu Technika”, która zilustruje osiągnięcia i założenia planu. Jesteśmy w połowie realizacji drugiego roku pięcioletki. Z pozycji tej, możemy już stwierdzić, że dotychczasowy start do stawianych nowych zadań, w obliczu dorobku poprzednich 17 lat pracy nad rozbudową naszego miasta, jest prawidłowy, o czym świadczą powstałe dzielnice mieszkaniowe i zakłady pracy (ulice, zieleńce, Park Ludowy, stadiony sportowe itd.). Jest to sukces wszystkich mieszkańców, którzy swoją pracą zawodową i społeczną przyczynili się do tego wspólnego dzieła pod sztandarem Frontu Jedności Narodu.

Cyfrы planów na wystawie wykażą realizację w zakresie zdobytych gospodarczych.

Wystawa spółdzielczości pokaże nam dorobek jubilatki, Lubelskiej Spółdzielni Spożywców, WZSP — w zakresie handlu, jak i usług, a LSM — w zakresie budownictwa mieszkaniowego.

Nową formą pracy będzie przegląd filmów rolniczych, zorganizowany przez Centralę Wynajmu Filmów i WSR dla podkreślenia rolniczego charakteru naszego regionu.

Sportowcy na boiskach i stadionach zaprezentują swoją fizyczną siłę. Dorobek pisarzy, publicystów pokazany zostanie na wystawach książek.

(Dokończenie na str. 2)

(Dokończenie ze str. 1)

Wśród nich znajduje się specjalna wystawa Wydawnictwa Lubelskiego, które w tym okresie wyda setną swoją książkę.

Zilustrowanie osiągnięć w zakresie kultury przypadnie też w udziale imprezom na scenach, na estradach, w piernicze.

Historię walk o wolność i demokrację zobrazuje wielkie widowisko plenerowe na stadionie i wystawa w Muzeum Lubelskim urządzona dla uczczenia XX Rocznicy Polskiej Partii Robotniczej.

Artykuły w dziennikach lubelskich, jak i specjalny numer „Kamery” który teraz trzymasz w ręku, Drogi Czytelniku, uzupełnią obraz „Dni Lublina”.

Spodziewany jest napływ gości do Lublina. Przyjadą m. in. dziennikarze, filmowcy, radiowcy, którzy przeniosą w świat to, co zobaczą u nas w tym okresie. Będą to, dobre i złe strony naszego życia. Zwróć uwagę na życie naszego miasta, liczącego 190 tysięcy mieszkańców, należy uważać za jedną z głównych korzyści „Dni Lub-

lina”. Może nie ma dotychczas wypracowanej formy, która by nadawała ton i barwę tym uroczystościom, niemniej dadzą one poniekąd świadectwo temu, co osiągnęliśmy, temu, co chcemy osiągnąć.

Między innymi zyskiem tych dni będzie wykazanie walorów turystycznych naszego województwa, z Lublinem na czele, jako miastem tranzytu turystów. Lublin, zasobny w pamiątki historyczne, w obiekty nowego budownictwa socjalistycznego, winien stać się ośrodkiem turystycznym. W ostatnich latach obserwujemy znaczny rozwój różnych form turystyki, która wywiera coraz większy wpływ na nasze życie społeczne i gospodarcze. W warunkach miasta Lublina turystyka napotyka jednak na poważne trudności, szczególnie na odcinku urządzeń noclegowych. Turystyka wymaga stałej i systematycznej opieki usługowo-gospodarczej organizacji do tego powołanych.

Powodzenie wszystkich imprez „Dni Lublina” zależy od ogółu społeczeństwa. Pragniemy, aby „Dni” stały się wielkim wydarzeniem dla całego miasta, nie tylko dla centralnej dzielnicy, ale i dla dzielnic przyjeznych. W tym kierunku idą nasze poczynania.

Włączenie się społeczeństwa lubelskiego do uroczystości „Dni Lublina” będzie wyrazem miłości do naszego miasta, — miasta, które staje się coraz piękniejsze.

Zygmunt Mostowski

CZYNEM SPOŁECZNYM

ZENON KWAŚNIEWSKI

Pod względem czynów społecznych Lublin zajmuje jedno z czołowych miejsc w skali ogólnokrajowej.

W 1955 r., na podstawie uchwały PMRN w Lublinie, b. Komitet Budowy Parku Ludowego przekształcony został w Miejski Komitet Czynów Społecznych. I od tego czasu datuje się wzrastająca z każdym rokiem ich wartość. Inicjatorem tych prac są najczęściej organizacje partyjne, związkowe i społeczne. Działalność ta spotyka się zawsze ze zrozumieniem i poparciem załóg zakładów pracy, urzędów i instytucji oraz młodzieży szkolnej i akademickiej.

Park Ludowy, stadion „Lublinianki”, dziesiątki nowych skwerów, placów zabaw i zieleńców są widomym rezultatem prac wykonywanych w czynie społecznym. Przy realizacji wielu inwestycji udział społeczeństwa wyrażał się przeważnie w wykonywaniu tzw. prac niefachowych. W pracach tych na terenie Lublina wyróżniają

się następujące zakłady: Lubelskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Ogólnego, Lubelskie Przedsiębiorstwo Budowlane, Przedsiębiorstwo „Ruch”, PKP, Lubelska Fabryka Maszyn Rolniczych, FSC i inne. Duży jest również udział wojska i straży pożarnej.

W okresie 5 lat swego istnienia Lubelska Gra Liczbowa „Koziołek” przekazała na cele społeczne blisko 20 mln zł. Niemalże jest również wkład finansowy SFOS.

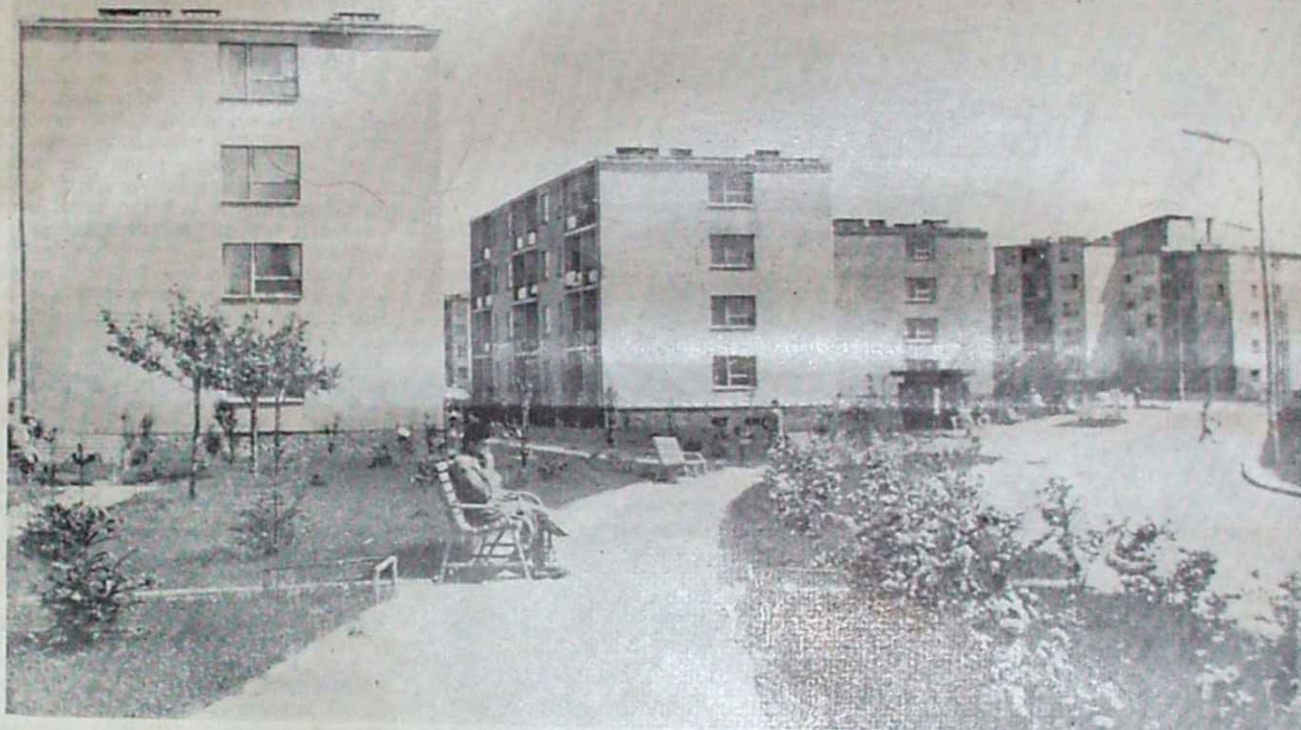
Wykonane w zakresie akcji społecznej inwestycje można podzielić na dwie zasadnicze grupy: ogólnomiejscowe i lokalne. Do pierwszej grupy należą przebudowa ul. Krakowskiej-Przedmieście, gdzie w ramach prac społecznych wykonano roboty niefachowe na sumę ponad 400 tysięcy zł. Drugą ważną inwestycją, którą zapoczątkowano jeszcze w 1961 r., jest przebudowa ul. Kunickiego wraz z budową chodników, wjazdów i zieleńców. Wartość tych prac wyniosła 340 tys. zł. W br. zaplanowane dokonanie porządkowania i przebudowy ul. Kunickiego. Wartość prac wykonanych na tej ulicy w br. przez mieszkańców Lublina przekroczy 1 mln zł.

W ramach tzw. „zielonych niedziel” mieszkańcy Lublina w 1961 r. przeprowadzili renowację trawników w Al. Racławickich, na ul. Szopena i wielu innych, wykonując łącznie ponad 15 tysięcy m² trawników. Wartość tych prac wynosi 43 tysiące zł. Poważną rolę w akcji realizowania prac czynem społecznym na terenie Lublina odgrywają komitety blokowe. Dzięki nim m. in. w 1961 r. Lublinowi przybyło ponad 5 tysięcy drzew i blisko 15 tysięcy krzewów.

Druga grupa prac — to inwestycje lokalne. W 1961 r. mieszkańcy Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej wykonali prace na 20 tysiącach m² terenów zielonych oraz szereg prac porządkowych na osiedlu. Wkład mieszkańców tej dzielnicy wyniósł ponad 500 tysięcy zł. W br. ambitne plany mieszkańców tego osiedla będą w dalszym ciągu realizowane. Osiedle LSM ma być w przyszłości największą, najpiękniejszą i najbogatszą w zieleń dzielnicą miasta.

W ub. r. ludność Sławinka w czynie społecznym wykopała 8,5 km rowu pod sieć wodociągowo-kanalizacyjną. Wartość tych prac wynosi 780 tysięcy zł. W 1961 r. czyn społeczny mieszkańców ul. Junoszy wyniósł 14 tysięcy zł. Wykopali oni rowy pod budowę instalacji wodociągowo-kanalizacyjnej na odcinku 510 m. Na ul. Obywatelskiej wykonano w ub. r. prace wartości 525 tysięcy zł, a na ul. Zachodniej czyn społeczny wyniósł 115 tysięcy zł. Przy ul. Raabego studenci lubelskich wyższych uczelni wykonali prace wartości ponad 200 tysięcy zł. Wiele też zrobiono na peryferiach miasta. Wykonano tam prace wartości 136 tysięcy zł, układając 1450 mb chodnika. W wielu punktach miasta na przystankach MPK ustawiono daszki i ławki, założono ogródki jordanowskie oraz wykonano sze-

(Dokończenie na str. 16)



Fragment osiedla LSM.

Fot. J. Trembecki

DNI I NOCE LUBLINA

Proszę wybaczyć autorowi, że ten nieco świąteczny artykuł rozpoczyna od osobistego wyznania. Ale wydaje mi się to konieczne ze względu na pretensje, które nieco dalej wysunie pod adresem wielu osób i kilku instytucji. Osobiste wyznanie polega na tym, że autor nigdy nie był przeciwnikiem historii i zabytków historycznych. Odwrotnie — już w czasie studiów przez wiele miesięcy grzebał się w pozłótkich księgach i rękopisach bibliotek, wykraczając znacznie poza obowiązki studenta. Obecnie z przyjemnością odnotuje po raz pierwszy w druku fakt, opowiedziany przez adwokata lubelskiego Andrzeja Modrzewskiego, że piękna architektura pałacu radziwiłłowskiego w Lublinie (gmach Wydziału Prawa UMCS) swój obecny i zgodny z historią wygląd zawdzięcza nie architektom, budowniczym czy plastynom, ale generałowi Bukojemskiemu. Ten właśnie generał nie dopuścił do odbudowania na portyku paskudnej altany-werandy, wybudowanej przez okupanta a przez wielu ludzi uważanej za zabytek historyczny.

Po tym usprawiedliwieniu owe zapowiedziane pretensje. Otóż ilekroć wpada mi w ręce jakiś przewodnik po mieście, powiecie, województwie, z trudem opanowuję irytację. Nie mogę bowiem zrozumieć, dlaczego przewodnik zajmuje się tylko zabytkami historycznymi, szacownymi ruinami, wyblakłymi z upływu wieków obrazami, mniej lub więcej prawdziwymi legen-

JERZY DOSTATNI

dami o diablach, okrutnym wojewodzie czy uciśnionej w klasztorze niewinności, milczy natomiast konsekwentnie o wybudowanych w ostatnich latach fabrykach, o powstających niemalym wysiłkiem dzielnicach mieszkaniowych, aktualnych problemach gospodarczych, ciekawych a skomplikowanych zjawiskach socjologicznych. Słowem o tym wszystkim, co powstaje w naszych czasach, co nie bez dużych wyrzeczeń i kłopotów tworzymy my sami.

Od tej pretensji już tylko krok do rozważań na marginesie rozpoczynających się właśnie Dni Lublina. Gdy przed rokiem po zakończeniu Dni domagałem się na łamach „Kamery” od organizatorów rozszerzenia i wzbogacenia programu, anonimowy kronikarz „Nowej Kultury” nazwał mnie — z imienia i nazwiska — prowincjonalistą. Uważał widocznie, że prawo do własnego święta ma tylko Warszawa i najwyżej Kraków czy Wrocław. Bo niby czym wy tam, w jakimś Lublinie, możecie się pochwalić?

A właśnie że nie chodzi o chwaleństwo. Taka licytacja miast czy powiatów byłaby oczywiście nonsensem. Niestety takie właśnie tendencje nurtują niektórych organizatorów naszych Dni, takiej właśnie licytacji, a właściwie zwycięstwa w licytacji, oczekują od organizatorów przyszli uczestnicy świątecznych uroczystości naszego miasta.

Wydaje mi się, że w takim układzie wszystko sprowadziłoby się do wysokości środków finansowych, postawionych do dyspozycji organizatorów. Oczywiście — pieniądze rzecz ważna i bez nich wielu rzeczy zrobić nie można, ale przecież nie one powinny decydować o powodzeniu lub niepowodzeniu Dni.

W roku ubiegłym bardzo silny nacisk położono w Lublinie na historię. Zorganizowano chyba kilkadziesiąt odczytów i prelekcji w najróżniejszych punktach miasta. Prelegenci włożyli niemało trudu w przygotowanie się. A wyniki? Nie wiem, czy był odczyt, który zgromadził ponad 30 uczestników — jeżeli wyłączyć imprezy organizowane w szkołach czy innych podobnych ośrodkach. Jeden ze znanych i lubianych w Lublinie prelegentów, pracownik naukowy UMCS, zgromadził na swoim odczycie audytorium złożone z jednego słuchacza, którym był operator Kroniki Filmowej, przybyły po to, aby sfilmować rzekome tłumy słuchające ciekawego odczytu...

Przed dwoma laty handel lubelski bardzo aktywnie uczestniczył w Dniach Lublina. Potem zaś okazało się, że zamiast pochwał zebrał niemałą porcję pretensji. Bo niby na święto pokazał się od najlepszej strony, ale klienteli nie mogli mu zapomnieć, że na co dzień był zupełnie inny, jeżeli chodzi o zaopatrzenie, jakość sprzedawanych artykułów, uprzejmość obsługi itp.

Przed dwoma laty i przed rokiem bardzo liczyliśmy na udział młodzieży akademickiej w obchodach Dni Lublina. Prawdę powiedziawszy w obu wypadkach wypadło to dość niefortunnie. Mamy w Lublinie pięć wyż-

szych uczelni, ale nie mamy żadnej tradycji żakowskiej i silnie się na coś w rodzaju krakowskich inwalidów wypadło raczej mizernie. W tym roku widać, że raczej zrezygnowaliśmy z udziału świata studenckiego. Do odbywania się w czasie największej gorączki egzaminacyjnej, a dość interesującej w założeniu (znacznie gorzej zaś w wykonaniu) festiwal kabaretów amatorskich zorganizowano miesiąc przed Dniami.

No cóż — długa jeszcze mogłaby być lista różnych żalów i wypominków. Ale nie o to przecież chodzi. Wydaje się jednak, że przytoczone przykłady wykazują nie tyle takie lub inne niedociągnięcia organizacyjne, ale przede wszystkim jakiś brak zasadniczej koncepcji. Po prostu co roku szukamy nieco innego rozwiązania, wprowadzamy różne zmiany, uzupełniamy, modyfikujemy i wprawdzie wynik jest chyba coraz lepszy, ale przecież wciąż daleki od tego, co chcieliśmy osiągnąć.

Trudno odpowiedzieć, na czym polega błąd. Gdybym sam wiedział, już dawno zgłosiłbym się do komitetu organizacyjnego, przedstawił swój projekt, zebrał pochwały, a potem usiadł gdzieś w bocznej łóżce i z sardonicznym uśmiechem czekał, co nawali, aby poprawić. Ale niestety nie potrafimy opracować programu, który podobają się większości organizatorów czy uczestników.

Więc niby dlaczego to wszystko piszę? Też nie jest łatwo odpowiedzieć. Wydaje mi się, że istota sprawy leży nie tyle w programie, ile w jego wykonaniu. Nie ulega wątpliwości, że np. czynny udział handlu lub świata technicznego w Dniach Lublina jest

(Dokończenie na str. 7)

MIASTO ongis WIELOJĘZYCZNE

WALDEMAR BABINICZ

— Jeśli o wspomnienia chodzi — mawiał ongiś Ludwik Solski — to Lublin kojarzy mi się zwykle z pewną modrooką, pszenicznowłosą dziewczynką, człapaniem koni doróżkarskich i dzwonkami na dworcu kolejowym.

Czasy, które pamiętam, obfitowały prawdopodobnie w znacznie większą ilość wydarzeń, albowiem zachowały mi się dotąd żywo w pamięci i inne jeszcze fakty.

Więc prezydent miasta, objeżdżający ulicę parą białych koni zaprzęgniętych w powóz na gumach. Powóz wystawał godzinami przed cukiernią Rutkowskiego, gdzie prezydent od ręki załatwiał pilne sprawy personalne.

Więc prywatne biura pośrednictwa pracy z dostojnymi paniami w zacisznych gabinetach i tłoczącą się grupą poszukujących pracy. Było tego trzy kategorie: w sionce i na schodach szeptem rozmawiały służące, kucharki, pokojówki, panny garderobiane, lokaje, lokajczyki; w przedpokoju studentki i studentki, maturzystki szkół lubelskich poszukujące kondycji na lato, niekiedy i na cały rok. Tu było zawsze tłoczno, gwaro, tu ustalano rodzaj zbiorowej umowy, a przynajmniej najniższą wysokość uposażenia, od którego w żadnym wypadku odstąpić nie było można. Obie te grupy były traktowane raczej non-szalancko, z odrobiną pogardy. Panie właścicielki biur prowadziły z ludźmi tej kategorii rozmowy lakoniczne:

— Nie chce? Nie potrzeba. Tego towaru nam nie brakuje. Co? Grymasi? Niech wyjdzie, niech się namyśli.

W małym saloniku siedziały guwernantki, przeważnie Francuzki, rzadziej Angielki i Niemki. Te cieszyły się pewnymi względami, miały prawo stawiania warunków. Odwożono je wprost sprzed biura powozami do majątków, gdzie miały zapewnione oddzielne pokoje, wykwintne utrzymanie, dobrą pensję.

W dużym salonie siedziały damy, przed którymi defilowała cała ta gromada PPP (pilnie poszukujących pracy). Taksowano każdą osobę oddzielnie, wypytywano o pochodzenie, o papiery i nazwiska „osób mogących udzielić referencji”.

Adresy tych biur znali wszyscy młodzi ludzie, którzy porzuciwszy domy rodzinne w Bilgoraju, Krasnymstawie, Zamościu lub zgola w Kocudzy czy Rudzie-Opalin, wędrowali w szeroki świat do Lublina po wiedzę, która miała zapewnić do końca życia dach nad głową i chleb.

Dla młodych ludzi wywodzących się z niebogatych wsi, już wówczas gęsto zaludnionych, szkoły średnie w małych miasteczkach powiatowych spełniały funkcje Alma Mater, wszechcnie, w których przypadła się chciwie do najczystszej, źródlanej wody i piło się ją, piło w nieskończoność. Cóż dopiero Lublin, o którym cuda opowiadali preceptorzy. Lublin z katedrą i sławną zakrystią, Lublin, w którym istniały salony, gdzie zbierali się autentyczni twórcy, poeci, muzycy, plastycy. Lublin, w którym dopiero właśnie powstała wyższa uczelnia z dość zaskakującym przymiotnikiem w tytule. Już samo Krakowskie Przedmieście wywoływało niepokój, budziło szacunek i sceptyczny stosunek do umiejętności paryskich krawców i szewców w Hrubieszowie, którzy zapewniali wdychających ciężko rodziców, że „w takim szykownym garniturze, w takich butach, wasz syn w try miga zostanie doktorem”. Bo Lublin uchodził w opinii głębokiego zaplecza za miasto lekarzy, dorabiających się olbrzymich fortun. „Za samo spojrzenie na chorego bierze lubelski konsyliarz tyle, co wy, z przeproszeniem, z waszą kobylą bez rok nie wyrobicie”.

W Lublinie polerowało się zaściankowy język, język, który przysparzał

(Dokończenie na str. 12)



Brama Krakowska — budowla powstała w drugiej połowie XIV wieku ulegała zniszczeniom i kolejnym przekształceniom, ale mimo to zachowała swój zasadniczy gotycki charakter. Obecnie, w trakcie odbudowy i adaptacji dla potrzeb muzealno-turystycznych, Brama otrzymuje postać ujawniającą jej historię i wartości architektoniczne.

„Zda mi się, jak gdyby literaturę naszą w podróz wyprawiono, żeby opatrzyła wszystkie zakątki kraju naszego i zdała z nich sprawę narodowi”.

Wincenty Pol

Piękne okolice południowej Polski. Może to tymi drogami szli zapaleńcy literatury, o których pisze w swoich dziennikach Wincenty Pol. Dzisiaj wygląda to tak. Z jednej strony rozwinięta jak nigdy dotychczas baza kultury w terenie. Kto kiedy widział takie domy kultury i dosłownie palace kultury w małych miasteczkach i osadach przemysłowych? Wszędzie biblioteki. Tu wczoraj otwarto, a tam otworzą lada dzień czytelnik-klub, wyposażoną w nowoczesne meble, radio, telewizor, który jeszcze nie wszędzie dobrze działa, ale już jest.

Najpiękniejszy budynek na wsi z dala świecącej nowoczesną bryłą architektoniczną — to szkoła. A w szkole — znowu biblioteka, konkurs recytatorski, estrada poetycka. To nie przesada. To jest tzw. teren. Z drugiej strony — pisarze i poeci cierpiący często na głód druku (a to papier, a to terminy produkcji książki, brak piśm poświęconych poezji itd. — powodów aż nadto). Pisarze i poeci nieraz obarczeni kompleksem niezrozumienia i zapoznania. A poza tym zagonieni za codziennym zarobkiem, tęskniący często do większych prac, przeważnie w naszych warunkach nieopłacalnych. Trzeba zarobić na możliwość skupienia się i pisania większej rzeczy, powieści, poematu. Teren czeka. Teren ma możliwości przyjęcia pisarza, opłacenia odczytu, wieczoru autorskiego, spotkania. Taki wyjazd często łatwiej zorganizować niż umieścić gdzieś wiersz czy recenzję. Więc jada na zarobek, iada „na Saksy”, w Polskę. Racje tych wyjazdów są oczywiście głębsze, nie tylko wyłącznie zarobkowe, ale te w dużej mierze warunkują częstotliwość i dorywczość wyjazdów. Te głębsze racje — to ciekawość kraju, chęć odcierania się od małego literackiego światka, chęć konfrontacji swojej sztuki z odbiorcą, żywy kolportaż swego dzieła.

Wśród wyjeżdżających pisarzy jest szczególnie wielu poetów. Pchają ich

Listy o poezji (12)

POEZJA MÓWIŁA

ANNA KAMIENSKA

w Polskę wszystkie wymienione bodźce, a wśród nich jako jeden z najważniejszych — chęć popularyzacji poezji i w sensie własnych osiągnięć i w sensie ogólnego problemu poezji współczesnej.

Następuje szeroka jak nigdy dotąd konfrontacja współczesnej żywej poezji z odbiorcą. Ten odbiorca jest często przypadkowy, nie zawsze ten, na którym by poetom szczególnie zależało. Ot, przyjeżdża poeta do małego miasteczka, w którym wznosi się piękny dom kultury. Poeta jest naladowany odkrywczymi myślami na temat nowoczesności w poezji, na temat prądów i tendencji rozwojowych naszej poezji, przyjeżdża i zastaje salę poprawdnie nie puszą, ale wypełnioną dziećmi w wieku od lat trzech.

Wówczas na gwałt zapomina wszystko, co miał do powiedzenia i bąka nieśmiało, że jest poetą, to znaczy uprawia takie dziwne zajęcia, pisze wiersze. A przecież rzeczywistość dziwnie to zajęcia w stosunku do konkretnych zawodów ludzi spotykanych w terenie. Jeszcze niejedną raz w czasie podróży będzie miał okazję usprawiedliwiać się i tłumaczyć gęsto ze swojego niepopularnego i niedorośłego zawodu. Jedyną cichą satysfakcją będzie mu wówczas to, że dowiódł się, iż przed nim był tu na wieczorze autorskim poeta Y, hermetyczny i uduchowiony poeta Y, chodzący zwykle z podniesionym czołem. Jak też on wyglądał wobec tej publiczności? Czy również zapytano, na jakim papierze

pisze wiersze i czy tworzy rano czy raczej wieczorem?

Gdzie indziej spotkają poetę zmęczone oczy i tępe od fizycznego zmęczenia twarze, gdzie indziej ci, co oczekiwali na humor i satyrę albo piosenkę. A poeta nie umie śpiewać.

Więc mnoż się, biedny poeto, i zabawiaj swoją publiczność. Gdyby cię tutaj tak podpatrzył ktoś z wielkomięskiej snobistycznej sosjety, jak skręcaś się, aby sobie samemu przypomnieć, dlaczego to właściwie piszesz wiersze, po co i dla kogo? Blyskawicznie wchodząc na salę i ceniąc ją od pierwszego rzutu oka, musisz ułożyć program swego występu, być sobie konferansjerem, recytatorem, aktorem (ach, dobrym aktorem), pedagogiem, gawędziarzem, nawet wówczas, gdy jesteś z natury mrukami.

Któż by się podjął naukowego opracowania poetyki naszych autorskich występów? Jeśli aktor estradowy jest najbliższy związany z publicznością i swoje powodzenie zawdzięcza darowi nawiązywania kontaktu z publicznością, to poeta w terenie jest jeszcze bardziej aktorem, jeszcze ciałniejsze sieci musi zarzucić na słuchaczy.

Nie zawsze mu się to udaje. Czasem ma wrażenie, że rzuca słowami o twardą, szczelną ścianę. Nie przebija nieufnej uprzejmości lub obojętności sali. Może jest złym poetą, może jest złym mówcą. Oskarża siebie, przede wszystkim siebie. Ale w innym miejscu ledwo powiedział pierwsze słowo, wie, że będzie mu się mówiło lekko i swobodnie. Jest wśród przyjaciół. Rozumieją go albo bardzo chcą zrozumieć. To chyba jakaś magia. Poeta mówi, a wraca do niego fala ciepła i porozumienia. I słowa jego stają się nagle potrzebne, coraz bardziej potrzebne i coraz bardziej ważne. Jak to się dzieje? Czyżby rzeczywistość między ludźmi mogła istnieć czarno? I wtedy poeta, choć bywa to nieczęsto, utwierdza się jakoś w sobie. Chciałby sprostać zaufaniu, jakie mu okazano. A sprostać może tylko jako poeta. Tylko podejmując trudne zadania i trudne problemy myślowe i artystyczne. Może będą znowu za trudne dla wielu audytoriów, ale przecież nie może przyjąć do ludzi z łatwą,

z brzękadłami, z pół-poezją i pół-prawdą!

Tak to piętą się proporcje i dysproporcje. Nasz kraj nie jest krajem zakochanym w poezji. A zwłaszcza w okresach względnej stabilizacji. Kłęski narodowe i narodowe noce domagają się poezji. Ale mimo wielkich tradycji poetyckich, mimo dużej liczby dobrych i wybitnych poetów — poezja nie jest w narodzie zakorzeniona ani szanowana. Częściej trzeba się u nas usprawiedliwiać z poezji niż można się nią szczycić. Nie ma kultury sztuki poetyckiej, jaki jest rozpowszechniony np. w Rosji. Nawet Czesi ze swoim Klubem Przyjaciół Poezji są wdzięczniejszymi odbiorcami. Wbrew pozorom jesteśmy narodem praktycznym. Poezję wtłaczamy nie raz ludziom do gardła wbrew ich chęciom. Szkoła rzadko uczy kochać poezję i wracać do niej.

Dlatego też powstało niepokojące zjawisko — utraty wiary w poezję przez samych poetów. Czują oni obojętność i lekceważenie, jakie otacza poezję w naszym kraju. Niektórzy przechodzą na prozę, ale ci, którzy są urodzonymi poetami, zamykają się w sobie, często przekornie uprawiają sztukę, która sama sobie wystarcza, nie ma określonego adresu. Brak wiary w poezję przeszkadza poetom walczyć o prawa swojej sztuki, o pisma poetyckie, o krytykę, o większe nakłady tomów poezji.

Zwątlenie w sens sztuki poetyckiej i rozgoryczenie twórców nie sprzyja ich twórczości. Wiednie ona i wysycha zbyt szybko w atmosferze walk pokoleniowych, niechęci, w braku uznania i zrozumienia. I tak zamyka się to koło.

W osobistej konfrontacji z odbiorcami wiele uraz znika, choć czasem narastają inne. Z objazdu autorskiego poeta często wraca z przekonaniem, że przecież jest potrzebny.

Są jeszcze dziwacy wykupujący tomiki poezji, biegający na spotkania autorskie. To oni stoja nieśmiało przy drzwiach. Milczą. Przychodzą ostatni i wychodzą pierwsi. Nie zawsze klaszczą. Nie zadają pytań, spuszczają oczy.

Są, są jeszcze dziwacy.

W Lublinie istniały wtedy średnie szkoły żydowskie. Gimnazjum Humanistyczne i tzw. szkoła Szeperowej. Były to zasadniczo szkoły z wykładowym językiem polskim, miały jednak pewną specyfikę. W sobotę nie było lekcji; w niedzielę odbywały się normalne zajęcia. Wszystkie święta żydowskie były wolne od nauki. W gimnazjum wykładano zasady religii żydowskiej i język hebrajski; wykładowcą był uznany specjalista. Poza tym program nie różnił się od normalnych szkół polskich.

Za te przywileje szkoły ponosiły szereg dokuczliwych ciężarów. Przede wszystkim nie miały uprawnień państwowych, a co za tym idzie matura w nich nie różniła się od egzaminów maturalnych eksternistów. Żadnych udogodnień, a same utrudnienia. Niezależnie od tego, skład komisji egzaminacyjnej był każdorazowo weryfikowany przez Kuratorium i wielu z profesorów było eliminowanych z komisji, na ich miejsce przysyłano obcych z innych szkół, przeważnie państwowych. No i delegat ministerialny na tej maturze był specjalnie dobrany z grona najbardziej surowych i wymagających dyrektorów. Jeśli dodać do tego fakt, że i czesne tam było bardzo wysokie, można się dziwić, że znaleźli się rodzice, którzy zechcieli umieszczać w takiej szkole swe dzieci.

A jednak byli tacy. Rekrutowali się ze sfer kupieckich, dość zamożnych, dla których kwestie religijne stały na pierwszym planie. Woleli te wszystkie trudności, niż nieprzeżycie wszelkich przepisów kultu i nieposzanowanie świąt.

Belferka

KONRAD BIELSKI

Wśród grona nauczycielskiego byli tam i Polacy, nawet poszukiwani, gdyż liczone, że tych z komisji maturalnej nie usuną. Zwrócono się więc do mnie ze szkoły Szeperowej z propozycją, bym objął wykłady języka łacińskiego w szóstej, siódmej i ósmej klasie. Według ówczesnej rachuby były to klasy najwyższe; po ósmej zdawało się maturę. Wynagrodzenie zaofiarowano poważne, poza tym wiele udogodnień, by te obowiązki nie kolidowały z innymi moimi pracami — toteż chętnie się zgodziłem.

Szkoła mieściła się przy ulicy Zamajskiej (dziś Buczka) w niedużym jednopiętrowym domu, była koedukacyjna ze znaczną przewagą jednak dziewcząt. Widocznie szczęście do kobie i tu mnie nie opuszczało. Młodzieży było sporo, w moich klasach przeciętnie po czterdzieści osób. Wśród zespołu nauczycielskiego byłem jedynym Polakiem, był jeszcze w niższych klasach nauczyciel rysunków Hołyński, poza tym tylko Żydzi. Dyrektorem był Mintzer, niewielkiego wzrostu, ciemny brunet w okularach. Matematyk. Stosunkowo młody człowiek. Nerwowy, porywczy — nie cieszył się specjalną sympatią u młodzieży. Właścicielka szkoły pani Szeperowa przychodziła prawie codziennie, brała czynny udział w życiu gimnazjum, ale sama nic nie wykładała — nie miała potrzebnych uprawnień. Była to bardzo sympatyczna starsza pani.

Natomiast dwóch członków jej rodziny należało do grona profesorskiego. A więc przede wszystkim rabin Szper, kuzyn jej zmarłego męża. Człowiek stary i dostojny. Miał wszystkie kwalifikacje duchownego, ale funkcji żadnych nie sprawował i nawet chodził w cywilnym ubraniu. Uczył religii i hebrajskiego. Żyłem z nim w bardzo dobrych stosunkach. Godzinami ugadywaliśmy się na różne dla mnie ciekawe i egzotyczne tematy. Wprowadzał mnie w zawile kwestie talmudu i kabali; ofiarował się bezinteresownie nauczyć hebrajskiego. Nie skorzystałem z tej nęcącej propozycji z powodu braku czasu. Mądry to był mąż i wielce uczony. Miał przy tym trzeźwy i niezamącony pogląd na szereg spraw świeckich. Zaszczycił mnie widocznie też swą sympatią i zaufaniem, czego dał dowód, bo gdy raz powstał ostry spór w pewnych sprawach zasadniczych między nim a dyrektorem — obaj zgodnie wybrali mnie na arbitra, choć byłem dużo młodszy i właściwie obcy. Misję tę jednak przyjąłem i załatwiłem sprawę ku obopólnemu zadowoleniu.

Zięć Szeperowej, dr Mozes Fernhof, też obdarzał mnie specjalnymi względami. Nie pamiętam już, co wykładał, lecz uważał się za literata i miał

nawet jakiś dorobek w postaci wydanych książek w języku żydowskim. Chciał koniecznie ze mną do spółki przetłumaczyć szereg utworów Szalom Asza. Wprawdzie ja nie znałem żydowskiego, ale on nie czuł się znów tak pewnie w języku polskim. Z naszej współpracy miał się wyłonić dobry przekład.

Poswięciłem mu kilka wieczorów, ciekawy, jak to będzie wyglądało. Przerobiliśmy „Boga Zemsty” — na więcej zabrakło czasu. Zresztą i ten przekład nie ukazał się nigdy w druku, ani na scenie.

Zona Fernhofa, ładna i miła, w tym czasie urodziła mu syna. Z tej racji w ich domu odbyło się wielkie przyjęcie, na które i ja byłem zaproszony. Wszystko się odbywało zgodnie z tradycją. Prawdziwa ryba po żydowsku i prawdziwa pejsachówka. Doktor Herszenhorn, obdarzony młym barytonem, śpiewał ładne piosenki żydowskie — ale i arie z „Cyrulika” po włosku. Dr Herszenhorn był filarem Bundu, radnym miejskim i znanym działaczem. Specjalnością jego były choroby weneryczne. Znał się jednak i na internie. Funkcje lekarza szkolnego pełnił con amore z sympatią dla szkoły i rodziny Szeperów.

Z kolegami i kolegów przypominam sobie dwie miłe panie Szlafową i Majzelsową, żony też kolegów-prawników. Był jeszcze polonista dr Reich, który pozował na Słowackiego. Zresztą kochał się w wielkiej polskiej poezji romantycznej. Był też po trosze grafomanem, z czym mi się z czasem zwierzył i pokazywał swe plody, pisane niezbyt udolnie w cieniu trzech wieszczów. Mówił ładnie po polsku i niewątpliwie znał swój przedmiot, toteż bardzo odczuwał krzywdę, jaką mu robili, nie dopuszczając do komisji egzaminacyjnej przy maturze. Jeszcze przypomnę Udelsmana, który ze mną przez czas dłuższy kolegował również jako prawnik, i sympatyczną sekretarkę, której nazwiska nie pamiętam.

Młodzież szkolna pochodziła z różnych warstw społecznych. Obok dzieci takich potentatów, jak Zylber, Brikman, Zysserman, Gorzyczański, byli też uczniowie ze skromniejszych domów, a nawet całkiem niezamożnych, — którzy korzystali z pewnych stypendiów i ulg. Jedno co można by ogólnie powiedzieć, to że była to młodzież inteligentna i pracowita. Naukę traktowali bardzo poważnie, wiedzieli, że droga kosztuje i że ukończenie gimnazjum było połączone z nie byle jakimi trudnościami.

Prędko mi się udało znaleźć z nimi wspólny język i pozyskać ich sympatię oraz całkowite zaufanie. Traktowałem swą pracę w szkole przejściowo, nie miałem jeszcze różnych dła wactw i nawyków starych belfrów. Byłem młody, między mną a moimi pupilami nie było zbyt dużego dystansu wieku. Przedmiot, który wykładałem, lubiłem bardzo, starałem się go podawać żywo i zajmująco. Toteż i nasza współpraca i wyniki nauki były dobre. W każdym razie wizytatorzy z Kuratorium byli z nas zadowoleni.

Nie stroniłem również od życia pozaszkolnego tej ciekawej młodzieży. Uczęszczałem na różne ich zabawy — wieczorki „chanukowe” i „purimowe”, prowadziłem systematycznie (na ich prośbę) pogadanki o współczesnej literaturze, ze specjalnym uwzględnieniem poezji.

Nie więc dziwnego, że gdy pod koniec roku szkolnego zbliżała się matura i zapanowało ogólne zdenerwowanie, to i mnie się ono udzieliło. Na radzie pedagogicznej, po długotrwałych i poważnych debatach, dopuściliśmy do matury tylko tych, których postępy w nauce i ogólne przygotowanie rokowało najlepsze wyniki. No, ale przecież wiele zależało od delegata i przysyłanych ócych egzaminatorów i oczywiście od klimatu, jaki podczas egzaminu, dzięki nim, będzie panował.

Dobrze pamiętam tę pierwszą moją maturę u Szeperowej. Egzamin piśmienny odbył się z braku odpowiedniej sali, w lokalu żydowskiego klubu towarzyskiego przy ulicy Szopena. Delegatem wyznaczony został Wiktor Ambroziewicz, ten sam dyrektor gimnazjum w Chelmie, z którego osobą związane były bezskuteczne starania umieszczenia mnie w jego szkole. Mieliśmy już ze sobą na pieńku. Żywo stał mi w pamięci niefortunny egzamin i szereg upokorzeń, które mnie tam spotkały. Nie wiem, czy mnie poznał; w każdym razie nie okazał tego po sobie. Ja również nie uważałem za potrzebne przypominać mu siebie i tę całą historię.

Piśmienny z łaciny wypadł drugiego, czy też trzeciego dnia. Tu popełniłem duży błąd, z powodu braku doświadczenia. Do wyboru nauczyciela wykładającego przedmiot były trzy

**BIAŁOSTOCKA
AKADEMIA
NAUK**
FRANCISZEK
LEWICKI



Na zdjęciu: prof. dr Witold Sławiński

W ciągu ostatnich lat na mapie kulturalnej Polski pojawił się nowy ośrodek nauki. Jest nim Białystok. Powstanie Akademii Medycznej, a potem Wieczorowej Szkoły Inżynierskiej i dwu studiów nauczycielskich skupiło w tym mieście poważne grono ludzi pracujących naukowo. Trzeba od razu dodać, że naukowcy białostoccy od początku rozpoczęli ożywioną działalność. Skorzystał na tym przede wszystkim region białostocki, badany do tej pory sporadycznie. Sam fakt istnienia w Białymstoku środowiska naukowego wywołał żywsze zainteresowanie problemami Podlasia i Białostoczczyzny ze strony naukowców z różnych ośrodków w kraju. Obecnie problemami Podlasia, jego dziejów i kultury, interesuje się spore grono pracowników nauki z Warszawy, Lublina, Poznania, Łodzi, Torunia.

Ten wzrost zainteresowań badawczych, chęć ich koordynacji i powiązania z praktycznymi potrzebami Białostoczczyzny były głównym motorem decyzji o powołaniu w Białymstoku Białostockiego Towarzystwa Naukowego. Towarzystwo takie zostało powołane w maju tego roku. Jest to fakt doniosły w życiu kulturalnym nie tylko Białostoku, ale i w życiu północno-wschodniej części Polski. Białostockie Towarzystwo Naukowe podkreśla bowiem wyraźnie w swym statucie, że zreszta będzie nie tylko osoby pracujące naukowo i działające na obszarze województwa białostockiego, ale i „osoby z całego obszaru Rzeczypospolitej pracujące dla ziem północno-wschodniej Polski”.

Jakie cele stawia sobie Towarzystwo? Ogólnie można powiedzieć, że jego działalność służyć ma rozwojowi badań naukowych, popularyzacji ich wyników i wiązaniu działalności naukowej z praktyką gospodarczą i kulturalną. Ważne jest szczególnie to ostatnie stwierdzenie. Trzeba bowiem wiedzieć, że Białostockie Towarzystwo Naukowe będzie ściśle związane z władzą województwa — Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej. Jego statut określa

to powiązanie wyraźnie, mówiąc, iż Towarzystwo jest organem opiniotwórczym i doradczym Prezydium WRN w zakresie jej działania na odcinkach szczególnie ważnych dla rozwoju gospodarki narodowej, rozwoju społecznego i kulturalnego województwa białostockiego. Sformułowanie takie nadaje właściwą rangę pracom Towarzystwa, czyni je faktycznym pomocnikiem władz państwowych w rozwiązywaniu podstawowych zagadnień praktycznych. Towarzystwo prowadzić będzie prace za pomocą wydziałów. Wstępnie powołano wydziały: nauk historycznych i filozoficznych, nauk ekonomicznych, planowania i statystyki, nauk przyrodniczych i rolnictwa, nauk o ziemi, nauk medycznych i zdrowia publicznego oraz nauk technicznych. Do realizacji określonych zadań naukowych wydziały powołują komisje lub zespoły.

Podczas organizacyjnego posiedzenia Białostockiego Towarzystwa Naukowego powołano jego Zarząd Tymczasowy. Prezesem Zarządu został prof. dr Witold Sławiński — znany i ceniony naukowiec, zasłużony dla Białostoczczyzny badacz, autor wielu prac naukowych z dziedziny biologii. Wiceprezesem został prof. dr Tadeusz Dzierżykraj-Rogalski, znany antropolog i autor wielu prac z tej dziedziny dotyczących m. in. województwa białostockiego (badania nad Jaćwieszą). Sekretarzem Generalnym Towarzystwa został warszawski naukowiec dr Jerzy Antoni Wiczyński, od wielu lat pracujący nad problemem jaćwieskim. Na zastępcę Sekretarza Generalnego powołano m. in. Jana Jaskanisa, archeologa z Białostoku. Latem bieżącego roku odbędzie się w Białymstoku I Walny Zjazd Towarzystwa.

Białostockie Towarzystwo Naukowe już rozpoczęło działalność naukową. Towarzystwo przejęło z Wydziału Kultury Prezydium WRN w Białymstoku Kompleksową Ekspedycję Jaćwieską, która będzie kontynuować prace antropologiczne i archeologiczne w okolicy Szwajk. Towarzystwo rozpoczęło też działalność wydawniczą i przygotowało do druku kilka pozycji. Będą to: broszura w języku angielskim przygotowana na kongres archeologów w Rzymie przez dr Jerzego Antoniewicza (tytuł: „The Sudovians”), Pamiętnik z I Konferencji Nauk Historycznych poświęconej ziemiom północno-wschodniej Polski, Pamiętnik ze Zjazdu Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego (odbytego w Białymstoku w ub. roku). Materiały z dziejów ziemi sejneńskiej (z okazji 400-lecia tego miasta).

Białostockie środowiska kulturalne wiążą z powstaniem Towarzystwa dużą nadzieję. Grono ludzi, których Towarzystwo już skupia, jak i stosunek władz do nowej organizacji naukowej pozwalają oczekiwać, że nadzieje zostaną spełnione.

tematy, które wręczono mi w zapieczętowanych kopertach. Dwa długie i trudne — z pism filozoficznych Cicero — trzeci krótki i stosunkowo łatwy ze Swetoniusza. Bez namysłu wybrałem ten trzeci. Lecz Cicero był autorem w szkole przerabianym, Swetoniusz zaś zupełnie surowy. Toteż tekst, dla mnie łatwy, dla moich pupilów okazał się trudny do tłumaczenia. Wypadło ono słabiej niż przypuszczałem. Z trudniejszym Cicero — poradziłoby sobie zapewne lepiej. Zrozumiałem to już ponieważ w trakcie oceny i poprawiania prac.

Ustny egzamin przeprowadzono już w naszym budynku. Oprócz Ambroziewicza przysłano egzaminatora z polskiego — Piotra Krechowicza, me-

(Dokończenie na str. 10)

*) Zagadnienia te poruszone zostaną w jednym z najbliższych numerów „Kamień”

CENNA INICJATYWA

W roku bieżącym uroczystości w ramach „Dni Rzeszowa” miały nieco inny charakter, aniżeli w roku ubiegłym. Komitet „Dni Rzeszowa” wyszedł z inicjatywą (wzorując się na programie „Dni Lublina”), by poszczególne dni uroczystości określić problemami, a więc: kultury, nauki, tradycji rewolucyjnych, plastyki itd.

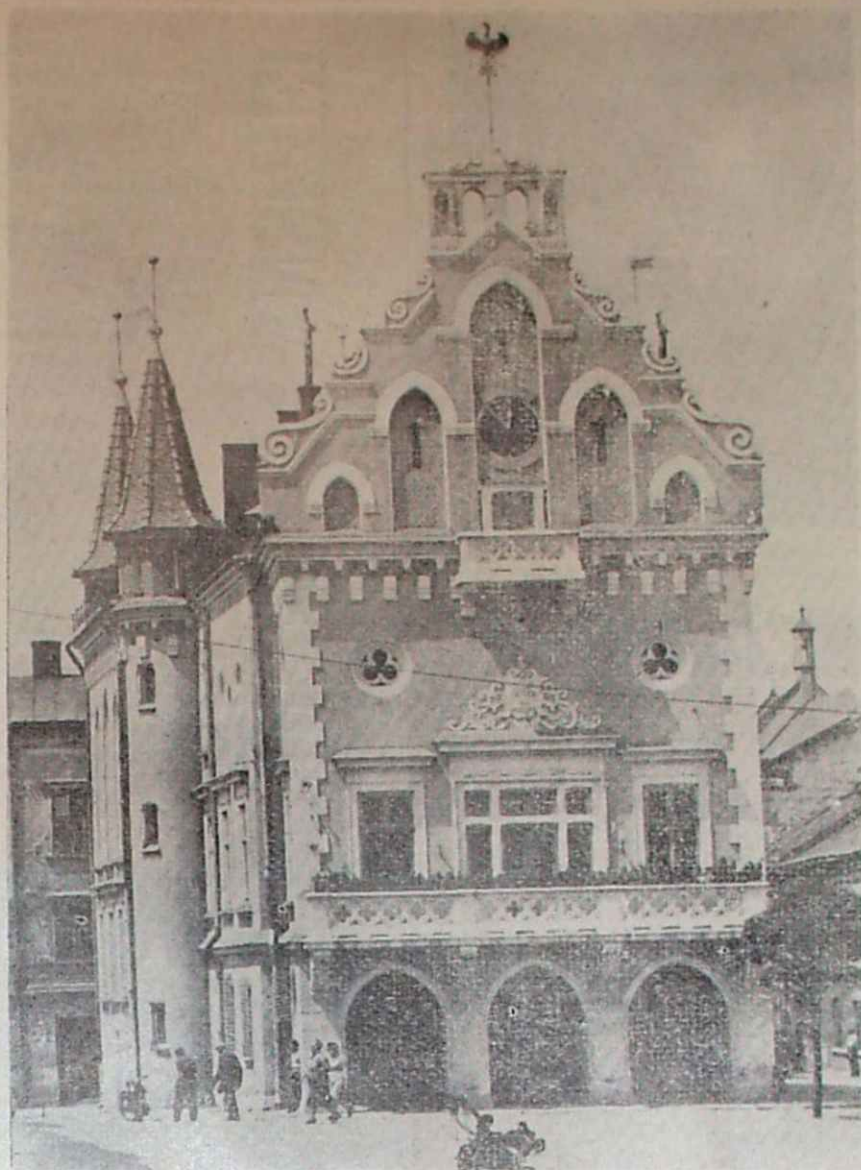
Włączając się do uroczystości, Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki w Rzeszowie postanowiło w tej okazji zorganizować sesję popularno-naukową pt. „Rzeszów dawniej, dzisiaj i w przyszłości” (11 czerwca), połączoną z uroczystą sesją Miejskiej Rady Narodowej, Miejskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu, inaugurując uroczystości „Dni Rzeszowa”.

Na program sesji złożyły się następujące referaty: mgr K. Moskwy „Z pradziejów Rzeszowa i okolicy”, dr Fr. Błońskiego „Zagadnienia historii Rzeszowa”, doc. Fr. Kotuli „Rzeszów w okresie okupacji”, mgr C. Błońskiej „Prasa konspiracyjna i pierwsze gazety wyzwolonego Rzeszowa”, mgr inż. arch. Hryczyżyna „Rozwój urbanistyczny Rzeszowa, dawniej, dzisiaj i w przyszłości”. Inicjatywa Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki jest tym cenniejsza, że do współpracy wciągnęło członków z innych towarzystw, jak: Polskie Towarzystwo Archeologiczne, Historyczne, Stowarzyszenie Architektów Polskich itd.

Drugą imprezą o poważnym znaczeniu dla Rzeszowa był przygotowany na dzień 13 czerwca sejmik działaczy towarzystw naukowych i kulturalnych działających w Rzeszowie. Celem spotkania było omówienie organizacji życia naukowego i kulturalnego w mieście Rzeszowie. Referat wprowadzający do dyskusji na sejmiku pt.: „O właściwą organizację życia naukowego i kulturalnego miasta Rzeszowa” wygłosił doc. Fr. Kotula.

W sejmiku przewidziano udział dawnych działaczy kulturalnych na terenie miasta, którzy znajdują się poza Rzeszowem, a którzy utrzymują żywy kontakt z miejscowym środowiskiem, oraz tych, którzy prowadzą badania nad dziejami miasta, a pracują w innych ośrodkach naukowych na terenie kraju.

(ka)



Rzeszów — Ratusz

Fot. M. Kopeć

GALOWE DNI I ROK POWSZEDNI

CECYLIA BŁONSKA

Rzeszowski zespół projektantów Drabinianki zdobył ostatnio pierwszą nagrodę w urbanistycznym konkursie na opracowanie nowej dzielnicy Opola na Zaodrze.

Krytyczne głosy troski o miasto nie przyćmiły zadowolenia z istotnych osiągnięć. Udany rzeszowski „Delikatesom” przybył wcale rzutki konkurent — Dom Handlowy Powszechny Spółdzielni Spożywców — pierwsza w takich rozmiarach placówka PSS w kraju. „Kosmosowi” — najelegantszej, według opinii, kawiarni niemalą konkurencję robi kawiarnia „Klubowa” w nowoczesnym ośrodku sportowym, połączonym z basenem kąpielowym i całym zespołem sportowych urządzeń. Młodzież wciąga klub ZMS „Iskra”, który ze zmienną szansą, ale w sumie z wynikami, przekształcił banalną kawiarenkę „Adria” w żywotny ośrodek młodych bywalców. Obok tańców i zabaw, dość licznie uczęszczają oni w rozmaitych konkursach, spotkaniach, słuchają poważnych prelekcji. W centrum miasta ulokował się nowy salon wydawniczy „Książki i Wiedzy”, prowadzący czytelnicy prasy, który przy nieprzewidywalnym jeszcze w Rzeszowie braku Klubu Międzynarodowej Książki i Prasy cieszy się frekwencją.

Nieopodal książkowego salonu wielki remont przeprowadzono w najstarszej na terenie miasta, ponad 300 lat liczącej, męskiej szkole ogólnokształcącej — obecnie liceum — w której ongiś nauczał Stanisław Konarski. Siedemnastowieczną architekturą obiekt ten stanowi pendanct do sąsiedniej siedziby Okręgowego Muzeum. Na tyłach szkoły, przy wydatnej pomocy miasta i rodziców, wybudowano i oddano do użytku nowoczesną halę sportową. Równocześnie z remontem najstarszej szkoły, mapę miasta uzupełniają nowe budynki szkolne. W rejonie ulicy Obrońców Stalingradu dobiega końca budowa szkoły-pomnika Tysiąclecia wznoszonej przez załogę Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego.

W dzielnicy Podpromie nową szkołę-pomnik Tysiąclecia fundują załogi bu-

dowlana. Nową szkołę otrzymała młodzież starej dzielnicy Budy. Wszędzie więc dzieje się coś nowego. A największą na osiedlu WSK — w Nowym Rzeszowie z własnym domem kultury. Zamieszkała tu liczna inteligencja techniczna i pracownicy fabryki w ciągu minionego roku uczynili zakład dom kultury naprawde swoim. Tutaj działa zespół estrady poetyckiej zbierający krajowe laury. Tutaj uniwersytet powszechny dla rodziców ma tak rekordową, że aż niewiarygodną frekwencję. Tutaj, przy fabryce, wychodzi zakładowa gazeta „Wiadomości fabryczne”, która śmiało i ofensywnie podejmuje nie tylko problem osiedla, ale najżywotniejsze zagadnienia techniki, rozwoju ruchu racjonalizatorskiego w zakładach, organizuje konkursy, przeprowadza ankiety. Gazetka

ta była jednym z propagatorów pierwszych Dni Rzeszowa.

Patronujący nawet i poetyckim poczynaniom zakładowego domu kultury Zarząd Okręgu Związku Zawodowego Metalowców — dawał przykład ożywienia życia kulturalnego w poszczególnych ośrodkach po tzw. linii związkowej. Problemem tym więcej uwagi niż dotychczas poświęciła Wojewódzka Komisja Związków Zawodowych. Rok był też szczególnie płodny w rozmaite związkowe wystawy amatorskiej plastyki. Ujawniły one, iż wśród amatorów istnieje sporo talentów przetwarzających proste zjawiska otaczającego świata na rzeczy piękne, by wymienić tutaj dla przykładu rzeszowskiego mistrza stolarskiego konserwatora meblarskiego Franciszka Świdra, którego prace wyróżnione zostały również na konkursie plastycznym orga-

(Dokończenie na str. 7)



Rzeszów — Fragment nowej dzielnicy mieszkaniowej

Fot. M. Kopeć

Dni Rzeszowa są imprezą młodą. Zapoczątkowane w roku minionym, przyniosły miastu sukcesy, trochę nieoczekiwane. Miały bardzo pochlebne recenzje w prasie krajowej, w czasopiśmie i nie dziwnego, że po tak olśniewającym debiucie, organizatorzy tegorocznych Dni żywią pewną obawę, czy okażą się równie atrakcyjne, interesujące, budzące tyle pochlebnych komentarzy, jak wtedy, gdy były o rok młodsze.

U wrót Dni, które tuż, tuż otwierają się przed nami i przed zaproszonymi gośćmi z województw sąsiednich (i z Lubelszczyzny oczywiście, z którą województwo rzeszowskie łączy kontakty kulturalnej wymiany) trudno wieloletniemu mieszkańcowi rzeszowskiego grodu ustrzec się od pokusy przeprowadzenia bilansu, od pobieżnej bodaj odpowiedzi na pytanie, jak żyje Rzeszów na co dzień, jaki to rok powszedni przegrodził galowe dni, w których miasto stara się i swej codziennej społeczności, i przybyszom ukazać z jak najlepszej strony.

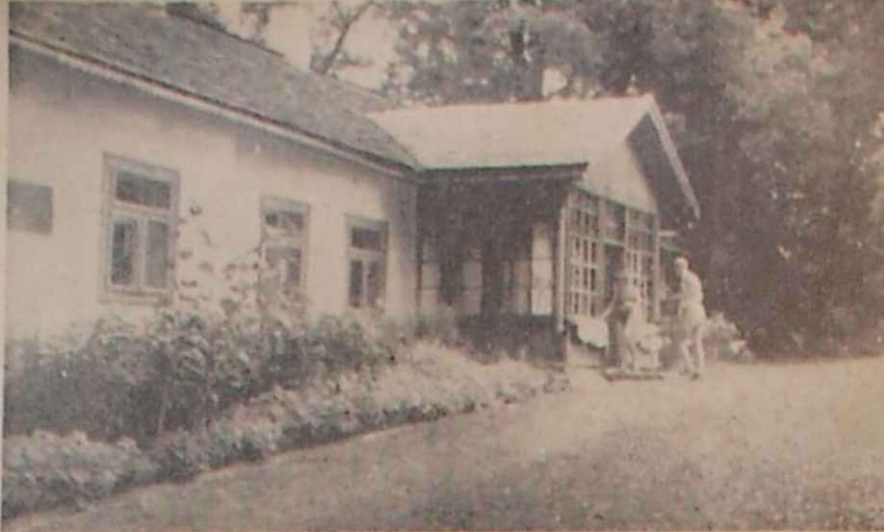
Trzeba stwierdzić, że nie był to rok zwyczajny. Ostatnie miesiące Roku Ziemi Rzeszowskiej, — jednej z jubileuszowych imprez Tysiąclecia Państwa Polskiego — obchodzone do końca r. 1961, nadawały, poczynaniom kulturalnym zwłaszcza, szczególne piętno. Równocześnie trwały w mieście, jak i w całym województwie, przygotowania do obchodów 20 rocznicy powstania Polskiej Partii Robotniczej. Staniem Referatu Historii Partii KW PZPR, licznego w Rzeszowie zespołu byłych członków PPR, przygotowywano materiały do uruchomionej od kilku miesięcy w salach Muzeum Okręgowego w Rzeszowie wielkiej wystawy „20-lecie PPR na Rzeszowszczyźnie”. Opracowano szereg wspomnień organizatorów i działaczy partii, przygotowano do druku wydawnictwa dokumentujące ten okres historii. Był to równocześnie czas interesujących konfrontacji Rzeszowa — ośrodka pierwszych władz młodego województwa po wyzwoleniu i obecnego Rzeszowa „r. 1962”.

Przy wszystkich jeszcze obciążeniach budownictwa starymi metodami pracy, w okresie ostatniego roku Rzeszów zyskał sporo nowych obiektów, całe nowe dzielnice. Osiedle przy ul. Piastów w pewnym sensie przyczyniło się do rozładowania bardzo skomplikowanego problemu mieszkaniowego. Równocześnie przy tej ulicy, gdzie nowoczesne budownictwo szybko pochłania okoliczne pola, prowadzone są energiczne badania archeologiczne; ich wyniki stwierdzają, iż „prastara” nazwa jak najbardziej tu się nada. W wieżowcach — chlubię Rzeszowa, aczkolwiek nie zawsze działają w nich windy — zamieszkałi również słuchacze Wydziału Dziennego Politechniki Krakowskiej, załóżka wyższej uczelni dla Rzeszowa. Gromkie „Gaudeamus igitur” rozległo się po raz pierwszy w Rzeszowie w wykonaniu studenckiego chóru na inaugurację roku akademickiego 1961/62.

Rzeszowskie władze, rzeszowska Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego i inne zakłady realizują rzetelnie zobowiązania wobec „swojego” wydziału Politechniki.

Duże ożywienie w życie miasta wniosły przygotowania do XI Miejskiej Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej PZPR w Rzeszowie. Komitet Miejski Partii, który zrzesza ok. 17 proc. ogólnej liczby zatrudnionych, poprzedził, jak nigdy dotąd, konferencję bardzo szeroka dyskusją w tzw. komisjach problemowych nad zagadnieniami miasta w dziedzinie budownictwa, oświaty, kultury, handlu. Ponad 2000 zarejestrowanych w dyskusji głosów wniosło niemalże żywotnego materiału. Wypowiadali się bowiem nie tylko wywołani aktywiści, ale i bezpartyjni, członkowie komitetów blokowych, gospodynie domowe, młodzież. Sporo dyskutantów wskazywało na ciągle jeszcze istniejące dysproporcje między wyposażeniem w handlowe i kulturalne urządzenia starego „tradycyjnego” śródmieścia a niedostatkiem nowych dzielnic w tym zakresie. Wskazywano na typowe zapewne nie tylko dla Rzeszowa zjawisko nienadążania z siecią urządzeń kulturalnych, usługowych, zdrowotnych do osiedli, których piękna architektura częstokroć łączy się z niedbalstwem nie wykończonego otoczenia. Wiele pretensji i postulatów poparto deklarowaniem społecznych gospodarskich czynów na rzecz miasta, wykonując roboty wartości ok. pół miliona złotych.

Funkcjonalnych błędów nowych osiedli starali się uniknąć projektanci najnowszej dzielnicy tzw. Drabinianki, która stanowić ma pierwszy w dziejach miasta fragment rozlokowany na drugim brzegu Wisłoki.



Dworek w Żarnowcu

Mały dom nad Jasiołką

W 120 rocznicę urodzin Marii Konopnickiej

ZBIGNIEW WAWSZCZAK

Stary, podkarpacki dom nad Jasiołką. Wśród gestwiny młodego listowia białodrzewów, dębów i lip bieleją ściany. Wyniosły stół, na którym wzniesiono zrebry dworku opada łagodnym zboczem w kierunku niespokojnych, obrzeżonych zielenią meandrow Jasiołki.

I drzewa, i dom stanowią jedną całość, doskonale skomponowaną, pełną harmonii i wdzięku.

Nie wiadomo kto i kiedy wznosił to domostwo: znawcy utrzymują, że co najmniej dwa stulecia wypisały na nim swe ślady. Jak każdy dom miał i dworek nad Jasiołką swoją historię, chronił pod swoim dachem radości i troski ludzkie. Niczym przecież nie odznaczał się nadzwyczajnym i zapewne pozostałby w niepamięci aż do końca swoich dni — gdyby nie przypadek.

„Zawsze marzyłam o tym, żeby mieć choćby jedno własne drzewo” — pisała Maria Konopnicka do swej przyjaciółki Elizy Orzeszkowej w 1901 roku.

Konopnicka była u szczytu sławy: miała już poza sobą największe triumfy, choć przecież czekały ją jeszcze przygotowywane przez komitety społeczne Królestwa i Galicji uroczystości jubileuszowe 25-lecia twórczości.

I oto niespodziewanie miały spełnić się jej marzenia. Orzeszkowa, która inspirowała pracę komitetów społecznych przygotowujących obchody jubileuszowe, dołożyła też starań, by marzenia jej koleżanki z lat młodości przyobiekły się w realne kształty.

Przypadek nasunął Żarnowiec. Właśnie rozparcelowano tu posiadłość ziemską, pozostała resztówka wraz z dworkiem. Komitet lwowski nabył ją za 13 tysięcy koron.

Latem 1903 roku chora na serce Konopnicka wyjechała na kurację do Bad Nauheim. W Paryżu otrzymuje wiadomość o nabyciu domu. Uradowana pisze do Orzeszkowej (29.VIII):

„Moja Najmilsza. Droga! Za nim wejść w próg tego domu, któryś mi zgotowała swoim sercem i swoim imieniem, niechże jeszcze raz Ci powiem, jak bardzo głęboko czuję, ile Ci zawdzięczam.

Wyjeżdżam stąd za kilka dni. Pani Wekslerowa przysłała mi depeszę, aby tam być 8 września.

Adres: Jasioł — Jedlicze — Żarnowiec.”

Korespondent „Kurieru Lwowskiego” tak oto relacjonuje przyjazd pisarki do karpacciego dworku:

„Konopnicka bawiła ostatnio w Paryżu, skąd przyjechała wprost do Żarnowca w towarzystwie swej przyjaciółki, artystki-malarki panny Dułebianki. Mimo zmęczenia podróżą wygląda bardzo dobrze, zdrowie jej w ostatnich latach znacznie się poprawiło. Konopnicka zamierza przepędzić całą zimę w Żarnowcu, o ile na to klimat pozwoli.

Na stacji w Jedliczu już od wczesnego ranka pełno było odświętnie przybranego ludu z Krośnice, Niżnego i Wyżnego, Odrzykonka, Żarnowca, Potoka i Umieszca, byli z jasiel-

skiego, obywatela z okolicy, nauczycielstwo, młodzież szkolna z gimnazjum w Jasle i szkoły realnej w Krośnie, urzędnicy z Chorkówki. Zjechała się także ze Lwowa większa gromadka osób. Nigdy jeszcze nie było tak rojno i gwarno na małej stacyjce, gdzie pociąg zaledwie minutę się zatrzymuje. Pociąg nadszedł o godz. 12.45 w południe, a gdy z wagonu wysiadła Konopnicka, wręczono jej kwiaty i odezwały się huczne okrzyki: niech żyje!

Poetkę witał Jan Stapiński, wyrażając wdzięczność za wszystko, co zrobiła dla ludu.

Następnie wsiadła do powozu i pojechała do Żarnowca. Wzdłuż całej drogi witały drogiego gościa nieprzebrane tłumy ludu. Na granicy żarnowieckiej czekały konne banderie, które wśród krzyków otoczyły powóz Konopnickiej i towarzyszyły jej aż do Żarnowca, gdzie u bramy triumfalnej czekała gmina żarnowiecka. Wójt Klatka witał ją chlebem i solą. Na to odpowiedziała Konopnicka: „Biorę od Was, drodzy mi bracia, ten chleb i sól z rozrzwinięciem głębokim i z wezbranym sercem”.

Jubileatce wręczono akt własności. Rekonstrukcją dworku zajęli się architekci, pan Biechoński. Dwór mieści 8 pokoi, a oprócz tego stajnie i wozownie.

Urządzeniem wewnętrznym dworu zajęły się panie Wekslerowa, Lewicka i Poznańska. Pamiętano o wszystkim — pani Biechońska urządziła nawet spiżarnię.

Po oglądnięciu dworku, na werandzie zabrał głos Jakub Bojko. Odpowiedziała Konopnicka: „Witajcie mi, ziemio, wy bracia! Niech rozebrzmia tutaj pieśni moje i niech wyśpiewam serce moje dla Was. Za swoją mnie macie — jestem Wasza”!

Irzeczywiście dotrzymała pisarka danego w dniu przyjazdu słowa. Stosunki między wsią a dworkiem — bliskie za poprzedniego właściciela, którym był człowiek światły, uczestnik powstania styczniowego, fundator pierwszej w dziejach Żarnowca szkoły, Biechoński — stały się jeszcze bardziej serdeczne, bezpośrednie.

Te fakty zachowały się w pamięci mieszkańców wsi. Chętnie opowiadają o tamtych czasach starszowie: wiertacz boryslawski, Ludwik Krzysztyński, gospodyni Maria Ordyna, ubogi rolnik, Antoni Krzysztyński, czy wychowanek Konopnickiej, jeden z tych, o których we wsi powiadają, „że dzięki Pani na ludzi wyszedł”, prof. Jan Ziemiński.

Żarnowiecki dworek stał się jej domem. W latach 1903—1910 spędza tu niemal każdy letni sezon, opuszczając dom tylko na okres zimy. Ciekawo światło na stosunek pisarki do Żarnowca rzucają jej listy. Początkowo jest oczarowana ofiarowaną jej przez społeczeństwo siedzibą. W liście datowanym I.X.1903 pisze do Orzeszkowej:

„Ale mi to smutno, że się podróż Twoja nie złożyła tak, żeby droga na Żarnowiec wypadła. Powiedz najmilsza, kiedy tu przyjedziesz?”

Dom przemily. Doskonale rozkład zrobił się na niewdziane, trochę

Z POEZJI KUBAŃSKIEJ

PRZEŁOŻYŁ

JERZY

PLEŚNIAROWICZ

ROBERTO FERNANDEZ
RETAMAR

W rozgwarze ludu

W rozgwarze ludu, nieogarnionym jak jutrzienka,
Nadchodzącym zewsząd wraz z tłumów

nawalnic;
W oczekiwaniu na karabiny zwycięstwa
I w hymnach wolności porywczej —
Szukałem cię z zadziwiającą pewnością,
Ze jesteś wśród tych tysięcy twarzy.
Co rozjaśnione zapalem śpiewają słowa

Rewolucji.
Odkrywałem twarz twoją jak twarz Ojczyzny.
I szedłem, jedyny chyba samotny, ku głębinie
morza

Nie pograżywszy się w radości donośnej,
Bo brakło mi radości nieśmiałej
Odnalezienia ciebie.

Czy mógłbym nie wiedzieć wtedy,
Ze ten promień tkliwości, którego nie zdołały
zgaśić ani okrzyki, ani barwy —
To było twoje spojrzenie i że ty mnie także

szukałaś
Z zadziwiającą pewnością, że wśród tych tysięcy
twarzy

Odnajdziesz moją.

* * *

My, ocaleni, —
komu nasze życie zawdzięczamy?
Kogo za mnie zamęczono w katowni?
Kto moją zatrzymał kulę
w sercu na zawsze umilkłym?
Nad kim stoję, nad czyją mogiłą?
W moich kościach czyje czuję kości?
Czyje oczy wyklute
patrzają spod moich brwi?
Czyją ręką w tej chwili piszę,
gdy utrwalam, jak ręką własną,
urywane, ulotne słowa —
ja, który przeżyłem poległych?

wbrew pierwotnemu planowi a i
zwyczajowi także, aby największe pokoje
przeznaczyć dla gości.

Widok Żarnowca ładny. Okolica otwarta,
falistą, od północy modrzeją jakiejś
podgórze i świecą wieczorami kopalnie
nafty w Potoku szeregiem mocnych
światł elektrycznych, właśnie
jakby się tam zaczynało jakieś duże
miasto. Od północy także płynie Jasiołka,
która ma silne przybory wód
górkich i szeroko na wiosnę rozlewa.
Słowików podobno w wiklinach
nadrzeźnych — mnóstwo”.

Z listu do syna Stanisława przebiega
jednak raczej melancholijny nastrój:
„Tutaj dość smutno w tym
pustym domu. Dobrze tu wiosną i latem,
ale już długie wieczory nazbyt
są głuche i smutne.

Dom dość obszerny, ale nie lubię
starych domów, każdy dom ma swoją
historię nie zawsze wesołą. A wiesz
jacy goście byli pierwsi? Bociany,
przyleciały dwie pary, jedna nocowała
na dachu dworu, druga na dachu
stajni. O świcie poszły dalej. Ale
ślicznie było, kiedy tak na jednej nodze
na kominie stały na tle zachodzącego
słońca”.

Rychło zrezygnowała autorka „Roty”
z zamiaru spędzenia zimy w Żarnowcu.
22 grudnia 1903 roku pisze ze
Lwowa do Orzeszkowej: „byłabym się
może nawet zgola nie ruszyła z Żarnowca,
ale mnie przestraszyła zapowiedź
niebawym tam co roku śnieżnych
zawiei, które w tę dolinę ze
wszystkich gór wichrami zmiatane,
leżą po kilka tygodni równo z dachami
chat, z plotami osad, tak że się
mieszkańcy wykopywać z nich
muszą. Któregoś roku kolej w Jedliczach
nieczynna była więcej niż przez
pięć tygodni. I wichry podobno są
tak pełne jęku, że to zgola nie do
przeżycia. Więc upatrzywszy jakąś
straż i opiekę zostawiłam domek
zamknięty — do wiosny”.

O stosunku pisarki do żarnowieckich
dzieci dowiadujemy się z listu
z lipca 1908 roku: „Moje drogie dzieciaki!
Ściągają nasze „nadzieje narodu”
ze szkół, w któreśmy ich wyprawili:
Józef Turek, Władysław Turek (rzeźbiarz),
Adaś Turek (stolarz in spe).
Wszystko sieroty. Przybyła też
Hela Ziemska jako pierwsza uczennica
z kursu seminarium nauczycielskiego.
Teraz to wszystko grabi siano i
okopuje kartofle — u matek”.

Nie przelewało się nigdy Konopnickiej,
przez całe życie borykała się z
kłopotami natury finansowej, nie
skąpiła przecież grosza na edukację
gromadki chłopskich dzieci z Żarnowca.
Nie lada pomysłowość wykazała,

wysyłając do Lwowa jednego z chłopów
i uprzedzając przyjaciółkę: „Przyślę
Ci zdolnego chłopca. Musisz użyć
wszelkich wpływów, aby jego tam
przyjęli do gimnazjum. Nazywa
Józef Turek. Wyjźdź po niego na dworzec.
Przyjedzie sam, bo w jego domu
za wiele niedzy, aby mógł go ktoś odwozić.
Poznasz go po gałązce jedliny
którą przysyją mu do kłapy mundurka”.

Ów chłopiec z gałązką jedliny
stał nauczycielem. Aresztowany za
okupacji, zginął zamordowany przez
hitlerowców w Dachau...

Mijały lata. Mimo częstych wyjazdów
do zagranicznych kurortów pisarka
coraz bardziej zapadała na zdrowiu.
Gdy atak serca unieruchamia ją w
łożku chłopci przychodzą do dworku,
pytają o zdrowie. Przychodzą też
wzruszające listy, jak choćby ten z
miasteczka Kołaczyc, pisany niewprawną
ręką pełen błędów ortograficznych i...
serca: „Ponieważ nam bardzo rzał
JWPani było, że chętnie dlatęgo
ośmielony posłać Jaśnie Wielmożnej
Pani steżarki to jest taki ziele.
Właśnie to co jest w pódlece
posyłam na pokaz rzeby Jaśnie
Wielmożna Pani kazała nazbierać na
bicie serca”.

Żarnowieckie lata wypełnia pisarka
praca. Tutaj w ciszy wiejskiego
ustroju powstaje szereg jej utworów,
m.in. wiersz na otwarcie Domu
Ludowego w Clechanowie, poemat
„Unia”, tutaj kończy epopeję o
tulaczym losie chłopów polskich
za oceanem, „Pana Balcera”.
Ludowa tradycja podaje, że
Konopnicka pisała swoje utwory
w cieniu rozłożystej lipy, rosnącej
przed dworkiem.

Wrażliwa na uroki przyrody —
potrafi dostrzec piękno Żarnowca
o każdej porze. W maju 1907 r.
pisze do Orzeszkowej:

„Tu jest prześlicznie teraz. A
śniegi leżały prawie do
ostatnich dni kwietnia. Wtedy
wyszły spod śniegu leśne
anemony i jeszcze jakieś
prze cudne modre kwiatki —
zupelnie gotowe”.

W liście z lipca 1908 roku
czytamy: „Moje Drogie dzieciaki!
Zimno u nas tak, że w piecu
palić. Deszcze — od jakich
dwa tygodni — ciągle, no i
burze. Mimo to kwitło i kwitnie
wszystko na gwałt. Róż tyle
jeszcze nie było, jaśminy
porozkładały się na trawnikach
nie mogąc unieść kwiatów —
tak samo młode akacje”.

Z sercem jest coraz gorzej.
Pracę cały rok 1909 spędza w
zagraniczu

(Dokończenie na str. 7)

RZESZOWSKA KRONIKA KULTURALNA

Iżestnicy obrad podkreślali wysoki i wyrównany poziom ekspozycyjnych prac.

W maju w foyer Teatru im. Wandy Siemaszkowej otwarto wystawę malarstwa Jadwigi Karwackiej, plastyczki starszego pokolenia, która kształciła się w Ognisku Rysunkowym w Krzemieńcu, a następnie w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Na wystawie znalazły się krajobrazy, portrety i kompozycje, pion pracy twórczej ostatnich paru lat.

W maju również została otwarta w hallu Prezydium WRN duża wystawa pt. „Rozwój myśli lirycznej na przestrzeni wieków”, w której ukazany został dzięki fotokopiom, oryginalnym tekstom i barwnym planszom ruch antyklerykalny i wolnomyślicielski od Jana Ostrogora począwszy od działalności ateistycznych pierwszych lat XX wieku. Zależała wystawa jest różnorodność form plastycznych i przejrzysty układ, a wada... chyba ogromna ilość plansz wymagająca do ekspozycji bardzo dużej sali.

„Nad rzeką Ropą” to tytuł bardzo ciekawej publikacji, którą oddało w ręce czytelników Wydawnictwo Literackie w Krakowie.

Trzej autorzy (Tadeusz Sławski, Józef Barut i Stanisław Motyka) w obszernej, bo liczącej prawie 200 stron, ilustrowanej 173 zdjęciami pracy omawiają historię Błęcza, Gorlic i powiatu gorlickiego od czasów najdawniejszych do chwili obecnej. Przejrzysty układ graficzny, na ogół dobrze dobrane ilustracje są zasługą redaktora monografii Zofii Zarneckiej.

Fakty historyczne, ciekawe fragmenty z zachowanych dokumentów, właściwe naświetlenie „wczoraj i dziś” powiatu gorlickiego każą przypuszczać, że śladami Powiatowego Komitetu Frontu Jedności Narodu w Gorlicach (nakładcy) pójda mieszkanicy i działacze społeczni innych regionów Rzeszowszczyzny.

(hp)

Mały dom nad Jasiołką

(Dokończenie ze str. 5)

nych uzdrowiskach. Wiosną następnego roku przyjeżdża do Żarnowca. Witają ją tutaj szczególnie serdecznie. Wracają jej siły, ale jest to tylko chwilowa poprawa.

„O zdrowiu nie tu nie słyhać. O nieprzespanych nocach i zadyszeniu — dużo... A jesień zapada, a deszcze coraz częstsze, a na świecie coraz ciemniej, a sił ubywa. Taki jest mój stan.”

Jesienią musi jechać do Lwowa: „Tu jest po prostu straszno w nocy; bez doktora, bez ratunku. Żal mi oczywiście wyjeżdżać z Żarnowca. Tu astry kwitną i róża, ale cóż robić... Bądźcie zdrowi. Albo się zobaczymy albo się nie zobaczymy.”

Takie było rozstanie z Żarnowcem, nie zobaczyła już swego domu. Ale pozostała tutaj na zawsze, pozostała w ludzkich sercach. Od wczesnej wiosny — gdy się tylko zrobi ciepło — przed dworkiem zatrzymują się autokary. Przyjeżdżają tu dzieci i młodzież, starsi z różnych zakątków kraju, przyjeżdżają, by zobaczyć jej dom, w którym teraz muzeum, w którym dzisiaj prawie wszystko wygląda tak samo, jak za jej życia. I park pełen jest kwiatów: przekwitły już ulubione przez pisarkę narcyzy. Później będą jaśminy, róże i astry...

Tylko wieś jest odmieniona i jakby młodsza. Coraz więcej przybywa solidnych, murowanych domków, coraz rzadziej można spotkać malownicze strzechy.

A żarnowieckie dzieci? Codziennie śpieszą do nowoczesnej, wzniesionej wysiłkiem miejscowego społeczeństwa i państwa szkoły, szkoły — pomnika Marii Konopnickiej.

Pomnika, o jakim mogłaby marzyć.

Zbigniew Wawszczak

GALOWE DNI I ROK POWSZEDNI

(Dokończenie ze str. 5)

nizowanym z okazji 20-lecia PPR przez Komitet Wojewódzki Partii i Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej.

Swoje dociekania, wyniki badań ukazać pragnęli również na inaugurującej Dni Rzeszowa Sesji Miejskiej Rady Narodowej naukowcy i miłośnicy skupieni w licznych w Rzeszowie regionalnych towarzystwach naukowych. Właśnie ostatni rok wprowadził w ich szeregi wielu młodych naukowców, historyków, geografów, archeologów itp. Staraniom Oddziału Polskiego Towarzystwa Geograficznego — zawdzięczać należy kompletowanie prac magisterskich poświęconych tematyce Rzeszowa i województwa.

Do uroczystych występów przygotowała się Państwowa Orkiestra Symfoniczna pod dyrekcją Janusza Ambrosia, która na zwyczajne dni roku, wprowadzając na swe koncerty do Rzeszowa znakomitych solistów — grał tu niedawno Adam Harasiewicz, rzeszowlanin — prowadzi też w szkołach żmudną i piękną akcję umykalniczną młodzieży.

Jeszcze tegoroczne Dni Muzyki Kameralnej, organizowane przez rzeszowską orkiestrę symfoniczną, mają być imprezą krajową. Już obecnie mówi się o przekształceniu jej na rok przyszły w polączony z konkursami i występami zespołów i solistów zagranicznych festiwal kameralistyki. Oby!

Państwowy Teatr im. Wandy Siemaszkowej, któremu rok upłynął pod znakiem nieustannych wyjazdów w teren i zdobywania nowego widza już nie tylko w małych miasteczkach, ale i we wsiach o pewnych ambicjach kulturalnych, który daleko zaawansował pracę nad zorganizowaniem drugiej regularnej sceny w 1000-letnim Przemysłu, otwiera swe podwoje dla jakże oczekiwanych spotkań teatralnych, w których rzeszowska publiczność ujrzy występy teatrów z Krakowa, Nowej Huty, Lublina, Tarnowa oraz warszawskiego STS.

Ale rytm powszedniości nie słabnie ani na chwilę. Na łamach popularnych „Nowin Rzeszowskich” czytelnicy nie szczędzą swych opinii na temat gwałtownie przebudowywanej pryncypalnej arterii — ul. 3 Maja. Na ratunek — w siedzibie Miejskiej Rady Narodowej, w Komitecie Miejskim Partii trwają wyteżone prace nad nielatwą realizacją uchwały KM o przeniesieniu do końca roku bieżącego, z suterenu, z podstrychowych mieszkań, z zagrożonych kamieniczek, mieszkańców do odpowiednich pomieszczeń.

Tymi sprawami nie absorbujemy, rzecz jasna, okolicznościowych gości, przybyłych do Rzeszowa na tegoroczne „Dni”. Przeciwnie. Miasto oczyszczone na wysokości polskiej, przystrojone, rozśpiewane ukazać chcemy z najlepszej strony.

Jerzy Dostatni

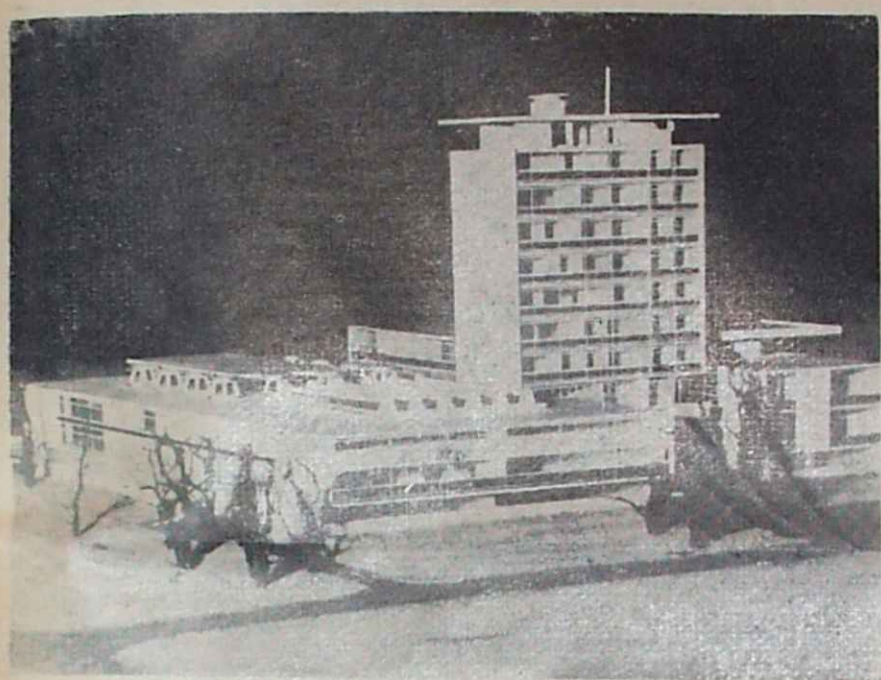
Cecylia Błońska

Obyły się w Łańcucie drugie z kolei „Dni Muzyki Kameralnej”. Od 2-7 czerwca 1962 r. melomani starszego i młodszego pokolenia w pięknej i bardzo akustycznie Sali Białej Łańcuckiego Zamku słyszeli muzykę mistrzów dawnożył, współczesnych w wykonaniu Państwowej Orkiestry Symfonicznej w Rzeszowie (gospodarza i organizatora imprezy), Zespołu Kameralnego Muzyki Dawnożył, Zespołu Średniej Szkoły Muzycznej Państwowej, Kwartetu Państwowego w Krakowie, Kwartetu Państwowego w Warszawie, Kwartetu Państwowego Krakowskiego Chóru Politechniki Łódzkiej, Trójki Klawesynowej, Kwartetu Poznańskiego, Chóru Kameralnego Teatru Poznańskiego, Chóru Kameralnego Państwowej Filharmonii Krakowskiej oraz solistów: wokalistów i instrumentalistów z wielu ośrodków muzycznych Polski.

Niewatpliwym mankamentem „Dni” był brak uczestnictwa młodzieży studenckiej z wyższych uczelni muzycznych kraju — co dość słabe rozreklamowanie imprezy.

Organizatorzy wspólnie z przedstawicielami Ministerstwa Kultury i Sztuki ustanowili, że od roku przysługują „Dni Muzyki Kameralnej” otrzymują przydatkę „Ogólnopolskie” przez co Łańcut stanie się jednym z centrów kameralistyki w Europie.

W marcu br. zorganizowano w Rzeszowie Biuro Wystaw Artystycznych, które już w kwietniu otworzyło w Muzeum Okręgowym Wystawę Retrospektywną Rzeszowskiego Oddziału ZPAP. Wystawa obejmowała 66 prac: obrazów olejnych, temperowych i grafik. W czasie jej trwania odbyły się w Rzeszowie obrady Sekcji Malarstwa Zarządu Głównego ZPAP.



Fot. M. Kopeć

Tak będą wyglądały Rzeszowskie Zakłady Poligraficzne — wielka inwestycja Planu 5-letniego.

Dni i noce Lublina

(Dokończenie ze str. 2)

konceptą dość oryginalną. Ale jeżeli to ma być tylko jednorazowy popis, świąteczne pokazanie się, to istotnie szkoda pieniędzy i wysiłku. Rzecz chyba w tym, aby z takiego popisu zostało coś na dłużej, może na zawsze. Jeżeli nawet — jak mówią handlowcy — są obiektywne trudności z zaopatrzeniem w niektóre artykuły, to przecież nie ma żadnych trudności, aby personel był bardziej uprzejmy, bardziej życzliwy wobec konsumenta, aby stał się nie tylko formalnym sprzedawcą, ale doradcą wahaającego się klienta, aby sklepy były bardziej czyste, fartuchy częściej wyprane...

Podobnie sprawa wygląda z historią. Trudno mieć pretensje do wybitnego naukowca, że nie potrafi interesująco mówić, że najsluszniejszych wywodów nie przeplata anegdotami. I dlatego na pewno warto organizować mniej odczytów, lecz bardziej interesujące nie tylko przez temat, ale i osobę prelegenta. Nie do pogardzenia jest tu także sprawa odpowiedniej reklamy, z którą jak dotychczas żaden komitet organizacyjny nie potrafił się uporać. Dwuletnie doświadczenie redakcji „Sztandaru Ludu” z imprezami „Lublin 960-1960” oraz „Przedstawiamy państwu”, a „Kuriera Lubelskiego” z niemal każdym artykułem czy wiadomością pokazuje, że najnudniejszą pozornie „piłę” można podać ciekawie, interesująco, a nawet frapująco, przy pełnej sile i z pożytkiem dla sprawy.

Być może powie ktoś z czytelników: co się tu mądrzy o handlu czy technice, kiedy Dni Lublina to przede

wszystkim dni poświęcone kulturze. A ja myślę, że właśnie nie.

Głosując za pierwszeństwem dla kultury, sądzę, że należałoby do naszych Dni wprowadzić także zupełnie inne zagadnienia. Bardziej śmiało niż dotychczas, a równocześnie mniej odświętnie. Niechże np. budowlani nie robią kosztownej wystawy sprzętu na jednym placu, tylko zaprowadzą liczne grupy chętnych na budowy prowadzone nowoczesnymi metodami, niech pokazują interesujące wnętrza olbrzymiego gmachu zespołu klinik Akademii Medycznej przy ul. Północnej, niech zorganizują publiczną dyskusję pań domu, który z różnic zaprojektowanych pod względem wnętrza nowych bloków na osiedlu Bronowice II najbardziej odpowiada użytkownikom i dlaczego. Brałem kiedyś udział w takiej dyskusji, prowadzonej jednak w bardzo szczupłym gronie wykonawców. Mimo zapewne jednostronnego patrzenia na wynik swojej pracy, inżynierowie wymienili dziesiątki niezwykle interesujących uwag o tworzeniu się nowych środowisk na przedmieściu Lublina, o powołaniu, często kłopotliwym przekształcaniu się ludzi napływających ze wsi bez elektryczności do domów wyposażonych w łazienki i kaloryfery. Czy przy okazji umiejętnie zorganizowanych spotkań z takimi ludźmi nie uda się uzyskać trwałych zdobyczy w postaci szanowania kranu z ciepłą wodą, białej wanny czy parkietu w przedpokoju?

Mamy na terenie Lublina wiele ciekawych fabryk czy mniejszych zakładów pracy. Chyba tysiące ludzi chętnie zobaczyłyby, jak robi się i samochody, i miocarnie, i wagi, i pończochy. Nie-

stety najczęściej tylko drukarnia otwiera swoje podwoje dla zwiedzających.

Zupełnie nie rozumiem, dlaczego Miejski Komitet Czynów Społecznych nie bierze żadnego czynnego udziału w organizacji i przebiegu Dni Lublina. Przecież znaczna większość mieszkańców naszego miasta właśnie przez Komitet daje wyraz umiłowaniu miasta. Ale przecież nie wszyscy. Słusznie jesteśmy dumni z osiągnięć naszych czynów społecznych w postaci Parku Ludowego, dziesiątków skwerów, kilometrów chodników i ulic, ale mamy jeszcze większe cele do osiągnięcia. Czekam na nas największa z dotychczas przeprowadzonych inwestycji miejskich — zalew zemborzycki. Będzie kosztował 50 milionów zł, w tym chyba trzecia część to wkład pracy społecznej nas wszystkich. Święto miasta jest chyba doskonałą okazją, aby pokazać dotychczasowy dorobek naszej pracy społecznej, ukazać perspektywę, zachęcić, zmobilizować.

Miałem nie wysuwać propozycji, zwłaszcza, że już na ten rok są spóźnione — a jednak uległem pokusie. Nie chodziło mi o to, aby do rejestru imprez dołączyć nowe pozycje. Być może przyszłoroczni organizatorzy jeszcze bardziej wzbogacą program, tak jak to zresztą dzieje się co roku. Chciałem tylko namówić na to, aby naszych Dni nie zawężać formalnie do tego, co nazywamy historią, spotkaniem z literatem, przedstawieniem w teatrze czy na amatorskiej scenie. Chciałbym, aby Dni Lublina były nie tylko świętem dla pewnej ograniczonej liczby osób i udręką dla organizatorów.

Chciałbym, aby stały się jakimś podsumowaniem naszych wspaniałych, przecież osiągnięć w każdej dziedzinie, a zarazem wykazaniem braków, które jeszcze trzeba usunąć. Chciałbym, aby nad ich organizacją czuwała nie grupa kilku czy kilkunastu osób, powołanych do tego miesiąc czy dwa wcześniej, ale by już przy opracowywaniu planów na rok następny znalazły one swoje miejsce i w Fabryce Samochodów Ciężarowych, i na placu budowy, i w pracowniach naszych uczonych, i w programie działania związków zawodowych. To zresztą tylko przykładowo. Najważniejszą bowiem jest rzeczą, aby Dni Lublina znalazły się na stałe w naszych sercach i umysłach, pragnieniach i możliwościach dnia codziennego. Aby stały się one dla wszystkich mieszkańców miasta szkołą obywatelskiego wychowania na co dzień, uniwersytem umiłowania tego wszystkiego, co powstaje w naszych mieszkaniach, pracowniach twórców, fabrykach, coraz piękniejszych dzielnicach miasta, bardziej gładkich ulicach, teatrach, kinach czy stadionach.

Nie wiem, jak osiągnąć to, aby doroczne Dni Lublina były nie tylko świętem, na które wprawdzie czekamy, ale które przemija bez śladu. Nie wiem, jak je zorganizować, aby pozostały po nich trwałe wartości i w nas samych, i wokół nas, pod postacią użytkowych osiągnięć materialnych i większej serdeczności dla innych, lepszych, szlachetniejszych stosunków pomiędzy nami na co dzień. Jeżeli kiedyś odnajdziemy klucz do tego nieco zaczarowanego zamku, jeżeli ten sam zamek zbudujemy nie na lodzie, lecz głęboko w nas samych — sądzę, że będą nam zazdrościli wszyscy. Wierzę w nasze miasto, wierzę w jego mieszkańców i dlatego wierzę, że ten klucz znajdziemy. Wznosząc toast na zdrowie miasta i jego mieszkańców — wierzę, że ten klucz szybko znajdziemy.

KORYNNA

W BIBLIOTECE Narodowej wyszedł sławny niegdyś romans pani de Staël: *Korynna czyli Włochy*. Takie to były w owej epoce tytuły, choćby: *Malwina* czyli *domyślność serca* Wirtemberskiej lub nawet *Pan Tadeusz*. Powieść poprzedziła wstępem Anna Tatkiewiczowa, kreśląc życiorys pani de Staël na tle epoki, jej bardzo trafnie ujętą sylwetkę psychologiczną i rozwój jej sztuki powieściopisarskiej. Kluczem do poetyki *Korynny* i wcześniejszej *Delfiny* jest konwencja ówczesnej powieści, szczególnie tworzona przez kobiety. Związki w tematach, schematach fabularnych, w zasadniczych sytuacjach i koncepcjach charakterów wydobyte zostały w sposób jasny, toteż z nich wynika, skąd to w *Korynnie* elementy melodramatu i powieści sensacyjnej, skąd oszajniczne nastroje i salonowa konwersacja, rezonans i patos. Te dwie ostatnie cechy zawdzięcza *Korynna* swojej autorce. Oprócz tego zawdzięcza jej koncepcję bohaterki o tyle, że to bardzo pochlebnie zre-

tuszowany portret pani de Staël. Autobiografizm *Korynny* wiąże ją z takimi utworami, jak *Cierpienie młodego Werthera*, jak *René* Chateaubrianda i *Adolf Constanta*, lecz tamte utwory są bardziej jednolite, gdyż *Korynnę* rozsada erudycja autorki. Pani de Staël wpisała w powieść sprawozdanie z podróży i rozprawy o poezji i sztuce, które wygłasza w jej imieniu *Korynna*.

Autorka wstępu pominęła, z czego nie można jej czynić zarzutu, oddziaływanie *Korynny* w Polsce, na twórczość i na czytelników. Tu można dorzucić kilka faktów lub domysłów. W *Malwinie* Ludomir ratuje z pogorzeli dziecko, jak Lord Nelvil ratuje płonącą Ankonę, choć niby to ma otwartą gruźlicę z krwotokami. *Malwina* przybiera tajemnicze oszajnicze pozy. Jak bawiła romantyków erudycja *Korynny*, świadczy III rozdział zaczętej przez Słowackiego powieści włoskiej prozą pt. *Pan Alfons*. Wśród dzieł pomocniczych: *Liwiusza*, *Tacyta*, *Hamleta*, *Złotego ołtarzyka*, *Indeksu ksiąg zakazanych*, rozprawy *O Annelidach*, czyli *robakach krwią czerwoną napelionych*, znajduje się i *Korynna Lady (!) Staël*. Zanglizowany hrabia w *Panu Tadeuszu*, wraz ze swoją awanturą w Birbante Rocca, to też jakiś powinowaty lorda Nelvila, jak i ciocia Telimena, lecz to być może spowinowacenie przez obyczajowe imitacje bohaterów *Korynny*. A wreszcie improwizacje *Korynny* w greckim stroju wydadają się trochę deotymiarskie, bo też

może wbrew woli przyczyniła się pani de Staël do utrwalenia mitu wieszczki improwizującej w boskiej inspiracji. *Korynna* mogła przekazać polskim konwencji literacko-obyczajowym mądrostwo rzeczy już przezwytyczonych, a więc śmiesznych lub ekliwicznych. Lira *Korynny*, tron Deotymy i peleryna dekadenta to takie niemodne rekwizyty.

Pani de Staël nie była cełą romanistką piórem, ciekawszy był romans jej życia. Ta niezwykle wykształcona, liberalna, inteligentna kobieta powinna była pisać dialogi o sztuce, poezji i sprawach publicznych. Niektóre miejsca *Korynny* są świetnym reportażem. Tylko cóż: nie było wówczas takiej formy. Do rozwoju powieści nie wniosła autorka *Korynny* zbyt wiele, poezje za to wpłynęła na opinie literackie. Jej książka *O Niemcach* torowała, jak wiadomo, drogę romantyzmowi. Biblioteczki Narodowej i Autorce wstępu należy się podziękowanie za *Korynnę*, gdyż brak tej książki na półkach powodował wielką lukę w znajomości historii literatury.

Maria Grzędzielska

*) Anna Luiza Herminia de Staël Holstein: *Korynna czyli Włochy*. Przełożyli Lucja Rautenstrauchowa — Karol Witte. Opracowała Anna Jakubiszyn-Tatarkiewiczowa. Wrocław — Warszawa — Kraków 1962, Biblioteka Narodowa S. II nr 131.

Z Y W O T OSTATNIEGO Z JAGIELLONÓW MARIA GRZĘDZIELSKA

W NASZYCH czasach „życiowy sławny” interesującej bardziej beletrystę niż historyka, ponieważ historia jako nauka przestała się zajmować dziejami jednostek. Toteż żywotopisarstwo w literaturze pięknej znalazło schronienie jako *nie romantyczne*. Ocena wartości biografii naukowej czy popularnej nie może zależeć od stopnia beletryzacji, gdyż te wartości leżą na innych płaszczyznach niż *nie romantyczne*, która również popularyzuje i informuje, lecz trochę ubocznie. Splot fikcji i autentyczności tworzy subiektywną wizję postaci historycznej, wizję — dozwalającą „iram et studium”, tak niepożądaną u naukowca. Książka Eugeniusza Gołębiowskiego nie jest stanowczo ani powieścią historyczną o Zygmuncie Augustu, ani powieścią biograficzną, ani biografią powieściową, lecz popularno-naukowym żywotem, który można by zestawiać np. z pracami Kazimierza Chłędowskiego. Brak dokumentacji, syntezy, zakończenie na samej śmierci Zygmunta Augusta to jednakże swoboda chwytu beletrystycznego, nie odwołującego się wszakże do fikcji.

Trudno niefachowo omawiać historyczne wartości książki, tutaj by trzeba starannej rewizji dokonanej przez historyka. Mogę jednak omówić pewne sprawy nasuwające refleksje. Weźmy chociaż utwory literackie o Barbarze Radziwiłłównie. Od klasykistycznej tragedii Alojzego Felińskiego na dość długie czasy ustalił się literacki mit dobrej Barbary i złej Bony: *Odyniec* — Rydel. Rewizji dokonał już częściowo Józef Szuski, natomiast Chłędowski rozpoczął rehabilitację królowej matki. A Gołębiowski? — on tak układa fakty, że obie królowe, Bona i Barbara, są całkowicie godne siebie, każda z innego powodu. Sympatycznie zwraca autor ku Elżbiecie Habsburżance, istotnie zadręczanej przez władzącą siostrę. Ferdynand nie wypłacił posagu, a Bona i tak nie cierpi Habsburgów, toteż biedna Elżbieta ponosi wszystkie konsekwencje, ochraniana tylko przez Zygmunta Starego.

Bona to „virago”, lecz nie rozumie my niewłaściwie tego określenia. Bona jest bardzo, aż za bardzo kobieta i działa wobec Starego Króla całym arsenałem babskich nerwów, lecz to charakter władcy, egoistyczny, bezwzględny, nie przebierający w środkach. Słusznie czy niesłusznie Włoszkę otacza sława trucieli, np. ostatnich Piastów mazowieckich. Takie to były prostackie metody (trucizna!), dziś by Bona wykopywała ze stanowiska, psula opinie polityczną i walczył we własnej świętej sprawie robiła z kogoś durnia. Umiałaby świetnie rozrabiać na każdym poziomie każdego pionu. Barbara zaś wcale agresywna nie jest, przykro stanie się dla otoczenia pod wpływem upokarzającej i niepewnej sytuacji, pod wpływem ciężkiej choroby. Działal za nią rodzony brat Rudy i stryjeczny Czarny. Oni to chwytają króla na schadzce z wdówką po Gaszoldzie, przywodzą kapelana i już „po harapie”. Za to też oni dewastują Litwę, paraliżują politykę unijną dla własnych celów dynastycznych i niesłychanie się bogacą. Barbarę dawno już odbrzydowano, wiadomo dobrze, czym wojowała i od czego zginęła, jak miała na Litwie opinie, lecz mit dobrej Barbary świetnie się dopełniał z mitem szlachetnego i głęboko wykształconego jej małżonka. Gołębiowski starannie uzasadnia wyjaśnienie opętania królewskiego. Jego wychowanie miało znaczne braki, ani systematycznej nauki, ani dyscypliny wielkich wysiłków. Bona wcześniej popuszczała synowi cugli, ażeby tym pewnie nim kierować, lecz przeliczyła się: Zygmunta August buntuje się przeciw matce i działa przekornie wbrew jej woli, początkowo oczywiście w sposób bardzo niedojrzały. Uczuciowe życie jego zostało całkowicie zwiecznione, król związany fatalnymi małżeństwami cierpi na potężny kompleks końca dynastii. A przecież to zręczny polityk, choć nietęgi strateg, szczęśliwie lawirujący w stronę szlachty, która walczy o egzekucję praw i zjednoczenie państwa, gorzej manewrującej wobec

(Dokończenie na str. 12)

A JEDNAK SIĘ CZYTA...

ZYGMUNT MIKULSKI

KIEDYS w „Nowej Kulturze” Jerzy Putrament opublikował felieton pt. „Antyżycie”. Modnej wówczas antypowieści i jej pokrewnym beletrystycznym postaciom przeciwstawił pisarstwo rzetelnie zorientowane na wydobywanie nastroju, odrysowanie sylwetki, trafienie w pejzaż. Mowa była o właściwej autorskiej — a i czytelniczej — satysfakcji, jakiej

na antypodach łatwego eksperymentarstwa dostarcza pisarstwo uczciwie zajęte kształtowaniem środków wypowiedzi. Smak stylistycznego efektu, intelektualnej kompetencji, artystycznych i filozoficznych uzasadnień — oto urok literatury, która nie zgubiła czytelnika i zdrowych podstaw rozwojowych.

Jednakże nie tylko literatura najwyższych ambicji i spełnień zachowuje jakieś zrównoważone stanowisko w okresie pomieszczenia miar. To samo można powiedzieć o piarstwie przeznaczonym przede wszystkim „do czytania”, pamiętającym o swoich serwitutach na rzecz odbiorcy bardziej wchodzącego w literacką tradycję, niż poszukującego wektorów awangardowości. W gruncie rzeczy i ono świadczy o charakterze danej literatury, jest jego „piechota” — jedyną spośród rodzajów broni decydującą o zajęciu terenu. Dobrze to napisać książkę, której wię-

cie wywodzi się z dojrzałego ukazania problemów życia, a nie z rozrzuconych fajerków formalnych. Wynika to z prostego wyciszenia żywotności jednego i drugiego rodzaju.

Takim egzemplarzem prozy realistycznej zorganizowanej według klucza przedmiotowych zjawisk w historii naszych lat ostatnich mogłaby się stać powieść Adolfa Lekkiego „Bezdroża”. Ukazuje szereg wydarzeń, wypadków, faktów rozegranych w latach 1941—44 na terenie okupowanych wschodnich obszarów Polski, ściślej: województwa lubelskiego. I jakkolwiek zygazki fabuły zatracają czasem o rzekomo pełną nadmiernej swobody fantazję, z łatwością odpoznamy nie tylko topograficzne realia, ale również klimat i spe-

Dokończenie na str. 14)

*) Adolf Lekki: „Bezdroża”, Wydawnictwo Lubelskie, 1962, str. 247, cena 20 zł.

W związku z tym, że niedawno minęły „Dni Oświaty, Książki i Prasy”, a obecnie zbliżają się „Dni Lublina”, przeprowadziłem rozmowę z dyrektorem Wydawnictwa Lubelskiego, dr Romanem Rosiakiem na temat działalności WL, które jest placówką obejmującą swym zasięgiem województwa: białostockie, kieleckie, lubelskie i rzeszowskie.

Pyt.: Jak długo właściwie istnieje Wydawnictwo Lubelskie?

Odp.: Niedawno minęło 5 lat od chwili powstania Lubelskiej Spółdzielni Wydawniczej, którą powołano do życia w marcu 1957 r. Od 1 stycznia 1961 r. LSW przekształcona została w przedsiębiorstwo państwowe pn. „Wydawnictwo Lubelskie”.

Pyt.: Czy w związku z przekształceniem placówki spółdzielczej w państwową nastąpiły poważniejsze zmiany w profilu wydawniczym?

(Dokończenie na str. 16)

5 LAT W SŁUŻBIE KSIĄŻKI



Na VII Międzynarodowych Targach Książki



Fot. J. Urbanowicz

Roman Kramsztyk — Portret siostry (olej)

Rok pla- styki w Muzeum Lubel- skim

IRENA
ISKRZYCKA

MUZEUM Lubelskie od wielu lat organizuje wystawy z zakresu malarstwa tak polskiego, jak i obcego. Są to z jednej strony pokazy monograficzne poświęcone twórczości poszczególnych wybitnych artystów polskich ubiegłych wieków lub bieżącego stulecia, z drugiej zaś wystawy problemowe łączące dzieła wielu twórców reprezentujących ten sam kierunek artystyczny, lub też związanych jednym wspólnym zainteresowaniem tematycznym. Do pierwszej grupy wystaw należały m. in. eksponowane w ostatnich paru latach, obrazy

niezwiązanych już artystów, jak Piotr Potworowski czy Stanisław Czajkowski, do drugiej zaś, wymieniam przykładowo, „Malarstwo polskie epoki romantyzmu” oraz „Lublin w malarstwie współczesnym”. Wystawy plastyczne organizowane były zarówno z własnych zbiorów, jak też i w dużej mierze dzięki życzliwości Dyrekcji Muzeum Narodowego w Warszawie, która wypożyczyła wiele cennych wystaw, jak np. zbiorową wystawę dzieł Aleksandra Kotsisa.

Stala działalność wystawiennicza Muzeum pod hasłem propagowania

ogłębiania w społeczeństwie lubelskim wiedzy o naszym malarstwie nabiera szczególnego znaczenia w bieżącym roku ogłoszonym przez Ministerstwo Kultury i Sztuki Rokiem Plastyki.

Muzeum na Zamku zaprojektowało dwie ekspozycje różniące się zasadniczo od wystaw dotychczas organizowanych: wystawę malarstwa oraz z okazji Dni Lublina ekspozycję akwarel, rysunków i grafiki o tematyce lubelskiej. Oba pokazy są przeglądem zakupów z tego zakresu, dokonanych na przestrzeni ostatnich pięciu lat (1956—1961) przez nasze Muzeum oraz Wydział Kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie. W nabytkach Muzeum znajdują się również pozycje przekazane bezpośrednio przez Zarząd Muzeów i Ochrony Zabytków Ministerstwa Kultury i Sztuki, bądź też z kredytów Zarządu Muzeów zakupione.

Czy wystawy takie będą dobrą propagandą spraw plastycznych właśnie w bieżącym roku? Oczywiście tak. Oprócz propagandy na rzecz twórczości plastycznej w ogóle, zapoznają one społeczeństwo z programem zakupów wymienionych instytucji, z rolą, jaką spełnia Wydział Kultury Prezydium WRN w zakresie popierania i nabywania dzieł współczesnych, oraz informują o linii kolekcjonerskiej Muzeum w zakresie gromadzenia pełnej dokumentacji dawnego i współczesnego malarstwa. Ekspozycje te świadczą również o życzliwym zainteresowaniu naszych władz oraz przydziałaniu odpowiednich kredytów dla zrealizowania tych zamierzeń.

Organizatorzy mają nadzieję, że obie wystawy w pełni odpowiadają tym zagadnieniom, jakkolwiek miłośnicy sztuki odczują pewien niedosyt. Wystawy bowiem prezentują obok wielu pięknych i wartościowych pozycji również przeciętne malarstwo. Poza tym jest to zestaw tak różnorodny zarówno pod względem czasu powstania poszczególnych dzieł (od XVII—XX w.), jak tematycznie i formalnie, że stworzenie bardziej jednolitej ekspozycji było problemem trudnym do rozwiązania. Stwierdzenie to nie umniejsza bynajmniej wartości obu wystaw, są one przede wszystkim przeglądem prac zakupionych i rzetelną dokumentacją zwłaszcza współczesnej twórczości lubelskiego środowiska plastycznego, a nie zamkniętą w ściśle określonych ramach ekspozycją. Przy czym należy podkreślić z radością, że wiele obiektów uznanych za godne nabycia w ocenie Muzealnej Komisji Zakupów, dopiero teraz zajaśniało pełnym blaskiem, świadcząc wymownie o dojrzałości artystycznej i szczytowych osiągnięciach artystów tej miary, jak Piotr Potworowski, Tytus Czyżewski czy Karol Larisch.

Kiedy się ogląda wystawione prace, nasuwa się jeszcze jedno stwierdzenie — pilnej potrzeby rozpoczęcia budowy nowego gmachu zamykającego północne skrzydło zamku, w którym zaprojektowane zostały sale galeryjne z górnym oświetleniem i w którym ten piękny zespół malarstwa zacząłby

na stałe spełniać swą rolę wychowawczą.

Zanim to jednak nastąpi, warto zapoznać się z tym, co zostało już zgromadzone do przyszłej galerii, zwłaszcza, że działalność wymienionych wyżej instytucji w zakresie popierania i nabywania dzieł plastycznych w ostatnim pięcioleciu, zasługuje na specjalną uwagę.

W okresie tym zakupiono ogółem 168 prac malarzkich oraz prawie taką samą ilość rysunków, akwarel i grafiki o tematyce lubelskiej. Wystawy obejmują 154 obrazy i ponad 100 prac poświęconych Lublinowi. Wydział Kultury PWRN, mając za zadanie popieranie przede wszystkim twórczości współczesnej, dzięki swoim z roku na rok rosnącym kredytom na zakupy, wzbogacił zbiory Muzeum, a właściwie zapoczątkował utworzenie galerii malarstwa lubelskiego, nabywając 79 prac lubelskich artystów kilku generacji. Obok obrazów Karola Westfala, seniora malarstwa lubelskiego, znajduje się uderzająco piękny zestaw dzieł Zenona Kononowicza i Jana Karmańskiego i prace młodych twórców jak: Maria Urban czy Andrzej Kołodziejek. Pokaz twórczości blisko 30 artystów naszego środowiska plastycznego jest interesującym przeglądem tendencji i propozycji plastycznych, różnie nie tylko w typie wyobraźni i formy, ale także w sposobie wyrażania osobistych przeżyć i dociekań twórczych.

Blisko 80 obrazów zakupionych przez Muzeum Lubelskie jest wyrazem dwóch głównych linii programu zakupów Muzeum w zakresie malarstwa polskiego. Pierwszą z nich jest stałe uzupełnianie czynnej w Muzeum galerii malarstwa polskiego, obejmującej okres od XIV do XX w., drugą nabywanie obrazów o tematyce lubelskiej, a zwłaszcza twórczości niezwiązanych już artystów lubelskich. Ekspozowanie w Lublinie galerii malarstwa polskiego jest jak najbardziej uzasadnione chociażby ze względu na ogromną rolę wychowawczą i artystyczną tego rodzaju zbiorów. Muzeum posiadało przed drugą wojną światową pokaźny zespół dzieł polskich, wśród których znajdowały się nazwiska takich artystów, jak Szermentowski, Kostrzewski czy Wyczółkowski. Obrazy te zostały podobnie jak inne zbiory Muzeum rozgrabione przez okupanta. Po wyzwoleniu rozpoczęło się powolne gromadzenie obiektów dla przyszłej galerii. Z chwilą przeniesienia się Muzeum na Zamek w 1956 r., utworzono galerię malarstwa polskiego dzięki depozytom Muzeum Narodowego w Warszawie i w Krakowie, rozwijając jednocześnie ożywioną akcją zakupów.

Wśród zgłoszonych, a następnie zakupionych dzieł przeważa twórczość artystów XIX i XX wieku. Z wcześniejszych zasługuje na uwagę portret dominikanina z XVII w. oraz kilka portretów z początku XIX w. Malarstwo XIX wieku reprezentują ponadto takie nazwiska, jak Franciszek Lampi,

(Dokończenie na str. 15)

NOWY ODBIORCA KRYSTYNA DAJBOR

REPRODUKCJA fragmentu „Bity pod Grunwaldem” Jana Matejki i symetrycznie niżej po obu jej stronach dwie abstrakcje malarza lubelskiego — oto dekoracja ściany w jednym z pomieszczeń Klubu w Zamościu. Wymowny przykład zasadniczej zmiany poglądów i zrównania pewnych wartości, klasyczny przykład pokojowej koegzystencji między obu tak zdawałoby się przeciwnymi obozami. Powoli i niepostrzeżenie niektóre pojęcia i gusty zmieniły się i poszły w kierunku, który, jak się wielu wydawało, nigdy nie uchwyci kontaktu z „prawdziwym życiem” i „szarym odbiorcą”.

Dość skomplikowany w naszym kraju proces rozwoju plastyki wszedł w nową fazę. Kierunki sztuki bezprzemiotowej zdobyły pewną i stałą pozycję w całokształcie życia plastycznego, pozycję tak mocną, że, jak to zwykle bywa, straciły w pewnym stopniu ostrość swej rewolucyjności nie tracąc zresztą nic z ładunku wartości awangardy. I rozpoczął się okres utrwalania tych wartości, okres przyjmowania ich przez coraz szersze kręgi, docierania do zupełnie surowych odbiorców. Okres zmiany wartości estetycznych, zmiany smaku i gustu nie tylko w wymiarze pewnego środowiska czy nawet jednej warstwy społecznej.

W pewnym mieście powiatowym województwa lubelskiego, po prelekcji z ramienia Towarzystwa Wiedzy Powszechniej na temat malarstwa współczesnego, wykładowca zapytał obecnych, co chcieliby oglądać na mającej się tu odbyć wystawie malarstwa — malarzy tradycyjnych czy nowoczesnych? Zgodna odpowiedź brzmiała — nowoczesnych. Zwykłowe zainteresowanie, chęć poznania i zrozumienia, pragnienie obcowania z malarstwem nowoczesnym — oto nowe zjawiska w środowiskach odpornych dotąd na oddziaływanie sztuki awangardowej, zjawiska, których nie sposób nie zanotować. Najlepszą frekwencją cieszą się wszelkie odczyty, prelekcje czy pogadanki z zakresu plastyki współczesnej. A po odczyty z reguły grad pytań. Zdumiony chłonnością słuchaczy prelegent zapuszcza się coraz śmielej w najbardziej radykalne kierunki sztuki nowoczesnej. Jedni przywiązują z aprobatą, inni jeśli nie apro-

bują samej tendencji, to w każdym razie uznają wartość poszukiwań czy eksperymentu. Nie ma śladu tej ostrej zjadliwej kpiny czy szyderstwa, jakie słyszało się jeszcze niedawno. Jeśli zdarzają się ironiczne wypowiedzi, to jest to raczej rodzaj „dowcipu z przyzwyczajenia”. Ale na pierwszy plan wybijają się chęć zrozumienia, głód wiedzy o plastyce, świadomość konieczności zdobycia pewnego przygotowania do kontaktu z nową sztuką.

A teraz dla zilustrowania tych stwierdzeń dość charakterystyczne wyjątki z książki uwag z wystawy Marii Urban w Kraśniku Fabrycznym, reprezentantki umiarkowanej nowoczesności.

„Kompozycje te działają na wyobraźnię i pobudzają ją. Szczególną uwagę zwróciłam na obraz „Zielone lustro” i „Król piernikowy” ze względu na ciekawe zestawienie barw”...

„Znając przygotowanie dyspozycyjne zwiedzających... należało, moim zdaniem, prócz gotowych już kompozycji wprowadzić jakieś objaśnienia w postaci reklamowych broszurek, w których treści można by przynajmniej znaleźć wstęp o kierunkach malarstwa oraz krótkie ich definicje”...

„Najbardziej „przemówiła” do mnie ta dziewczynka pt. „Mleko”. Po dłuższym przyglądaniu się, zaczęłam rozumieć i inne obrazy”...

„Obrazy doskonałe, dobre linie w kompozycjach”...

„Wystawa bardzo mi się podobała. Więcej takich w Kraśniku”...

Oczywiście są jeszcze oporni, choć to już nie oni ważą na całość. Są to w większości przedstawiciele starszego pokolenia, którzy żył z wyrobionymi i przyjętymi przez siebie normami, nie chcą niczego zmieniać we własnej opinii.

„Ja szukam prawdziwego piękna w sztuce i to (obrazy nowoczesne — przyp. mój) nigdy mi się nie będzie podobało” — oświadczył na dyskusji w pewnym miasteczku powiatowym jeden z przedstawicieli tamtejszej inteligencji licząc, że wyraża opinię ogółu zebranych i że następnie rozpocznie się pogodny i harmonijny wygłaszanie jemu podobnych poglądów. Ale o dziwo, stało się coś wręcz przeciwnego. Dyskutanci nie tylko nie poparli tego stwierdzenia, ale na do-

(Dokończenie na str. 16)



Jan Wydra — Wisła (olej)

STANISŁAW
MICHALCZUK

O GÓLNOPOLSKI konkurs na projekt pomnika martyrologii Żydów stał się interesującym przeglądem umiejętności i wysiłków wielu przeważnie młodych rzeźbiarzy i architektów różnych środowisk artystycznych kraju. Pokaz kilkudziesięciu nadesłanych prac, z niemałą dla nich stratą zgromadzonych w za ciasnych na taką ekspozycję salach CBWA w Lublinie, był okazją konfrontacji projektów z gustami odbiorców, ożywionych dyskusji o wyborze miejsca, rodzaju wyrazu, tematu, formy itp. Projekty stanowiły bardzo szeroki wachlarz ładunku treściowego i rozwiązań formalnych. Były bardzo niejednorodne, ale konkurs utrzymał się na wysokim poziomie. Jury przyznało nagrody i wyróżnienia trafnie i sprawiedliwie, przedstawiając następną instancji, wybierającej projekt do realizacji, kilka prac o walorach zupełnie nieprzeciętnych.

Przeglądając wystawione modele i czytając uzupełniające je techniczne komentarze nie trudno było poznać ideologiczne zaangażowanie i przygotowanie artystyczne ich twórców, wyprzedzających się na zadany temat formą plastyczną lub architektoniczną. Plastycy krakowscy i warszawscy wyraźnie dowiedli swojej przewagi nad środowiskami pozostałymi. Projektanci lubelscy np. przedstawili pomysły, nacechowane pustym i tandetnym modernizmem, bagatelizując przy tym w większym stopniu niż inni związaną pomnika ze znanym sobie otoczeniem.

Autorzy prac nagrodzonych i wyróżnionych zaprezentowali wnikliwy sposób plastycznego myślenia, dali dobre niestandardowe przykłady współistnienia treści z formą, które w ich

rozwiązaniu zaskakują swą jasną ekspresją pomnika dalekiego od anegdotycznej scenerii i od pustki czasowej formy, działającego siłą skondensowanego w nim wyrazu, wykładającego patrzącym to wszystko, co przesyła jest w stanie przekazać przyszłości o kaźni i meczarniach zadanych narodził żydowskiemu.

Nie chcąc powtarzać trafnych ocen Jerzego Ludwińskiego z jego artykułu w „Kulturze i Życiu” (Nr 18 z dnia 15.IV br.), pragnąłbym zwrócić jeszcze uwagę przed ostatecznym wyborem projektu do realizacji — na rodzaj i wielkość pomnika, dla którego przeznaczono plac-skwer pomiędzy ulicami Rady Delegatów i Hanki Sawickiej. W miejscu tym trudno wyobrazić sobie pomnik o przewadze elementów architektonicznych oraz monument przekraczający swymi rozmiarami wysokość 4-5 metrów. Nie jest to teren, gdzie ustawić można kolosalną działającą masę i sylwetkę, dominującą nad otoczeniem i nadająca mu szczególne piętno. Wiele prac konkursowych raczej dążyło do takich właśnie efektów. Byłyby one, na czele z bardzo ciekawym rozwiązaniem tematu nr 58 — pracą trzech artystów krakowskich Chromego, Kurkiewicza i Michalczyna, doskonałymi gigantami, ustawionymi na wzniesieniu, panującymi nad otwartą przestrzenią rozległego krajobrazu.

W obranym miejscu może stać coś niewielkiego, działającego i wyjątkowo bryłą rzeźbiącą, coś, co nie narzuca się otoczeniu, a jednocześnie zaskakuje i wstrząsa wyrazem indywidualnej formy, dalekiej od architektonicznej, zbierającej zabudowy zamkniętej przestrzeni tego niewielkiego placu. Trudno przewidzieć, czy komitet wykonawczy zdecyduje się na projekty nagrodzone: obelisk Tarabuly i Zagajewskiego z Krakowa (praca nr 80), czy na „Napiętnowanych” Halasy i Zemły z Warszawy (praca nr 22). Gdyby wybrano to ostatnie rozwiązanie, zmniejszając przynajmniej o połowę (z 8 na 4 metry) jego rzeczywiste wymiary wysokości, stanąłby w Lublinie wspaniały pomnik, przykład dobrej roboty plastyka-rzeźbiarza, czytelny znak tragedii, jaka się rozegrała i w tym mieście.



K. S. Zemla, Z. Halasa — „Napiętnowani”.

Belferka

(Dokończenie ze str. 4)

go nauczyciela z gimnazjum Staszica. Ten mnie poznał i pamiętał, lecz z jak najlepszej strony.

Egzamin był bardzo trudny. Ambroziewicz pytał z historii i nauki o Polsce. Materiał był obszerny, a on sięgał poza granice szkolnych podręczników. Krechowicz znów nie uznawał Reicha i starał się udowodnić, że uczniowie jego nie nie umieją. O każdym zdającym toczył się zawzięty bój. Mnie było najłatwiej walczyć, bo nic sobie nie robiłem z dostojnych i wpływowych osób, gdyż przyszłość moja nie wzięła się z pracą pedagogiczną. Krechowicz czasem udało mi się przekonać; Ambroziewicza ani razu.

Punktem kulminacyjnym był egzamin jednej uczennicy nazwiskiej Klejbaumówna. Była to miła, inteligentna i bardzo przystojna dziewczyna. Dostała już jedną dwójkę, lecz przy uzyskaniu trzech dobrych ocen — mogła jeszcze otrzymać maturę. Dwie jej łatwy tekst do przetłumaczenia i pytałem w ten sposób, że wszystko powinna była wiedzieć. Wyczuła od razu moje intencje, opanowała zdenerwowanie i wszystko szło znakomicie. Ale Ambroziewiczowi to się nie podobało; na szczęście, jak się zorientowałem, łacinę znał dość słabo, ot tak pamiętał w zakresie Cezara. Mimo to, wziął ze stołu książkę Horacego, otworzył na satyrach i kazał tłumaczyć. Na zwróconą przeze mnie uwagę, że to tekst bardzo trudny i nie przerażony w szkole, odpowiedział: „nie szkodzi — ja chcę zobaczyć jak sobie uczennica z tym poradzi, tym bardziej, że dotąd tak dobrze odpowiadała”.

Wtedy już zagrałem na całego. Moja protegowana zaczęła coś stękać, bez większego sensu, lecz widząc z mej strony aprobatę i słyszając potakiwania — nabrała śmiałości i improwizowała coraz bezczelniej, fantazjując często zupełnie dowolnie. Podobne to było do Horacego, jak piąć do nosa. Od czasu do czasu wtrącałem jakieś pomocnicze słowo, skoro sens już się za bardzo rozklejał. Ambroziewicz orientował się, że to nie jest tak, jak potrzeba, ale nie umiał poprawić. W końcu spojrzał na mnie z niesmakiem i przerwał egzamin. Skoro z miłym uśmiechem zaproponowałem ocenę dobrą, nie zaprotestował.

Ta Klejbaumówna, imienia niestety nie pamiętam, szczęśliwie przetrwała koszmarny czas, które po tym nastąpiły. Jak się dowiedziałem, żyje, wyszła za mąż i mieszka w Izażu. Ciekawym, czy pamięta tę swoją maturę.

Tak to załatwiałem swoje dawne porachunki z wielkim pożytkiem dla moich podopiecznych. Zresztą, serdecznie współczułem tej młodzieży, która była wyjątkowo przygotowana,

potwornie zdenerwowana i narażona na takie zasadzki i przeszkody, skutkiem specyficznych, nie od nich zależnych, warunków.

Uczyłem w tej szkole parę lat. W końcu musiałem przerwać, gdyż praca aplikanta adwokackiego, którym z koleżanką zostałem, nie dawała się już w żaden sposób pogodzić z obowiązkami nauczyciela. Ostatniego roku wykładałem już tylko w ósmej klasie na usilne prośby dyrekcji — nie chcieli stracić takiego sojusznika przy maturze. Ta ostatnia poszła nawet im lepiej niż poprzednie. Delegatem był matematyk, to bardzo sprawę uprościło. Krążyły pogłoski, że szkoła ma być zlikwidowana, co też nastąpiło niedługo potem.

Po maturze ojciec jednej z uczennic Katzenelenbogen urządził przyjęcie u siebie dla absolwentów i ciała pedagogicznego. O tej rodzinie krążyła bardzo ciekawa legenda. Już w ostatnich latach Polski niepodległej odbywała się w Warszawie długotrwała i burzliwa elekcja. Wielu było kandydatów, a na żadnego nie mogli się zgodzić. W końcu, już nad ranem, szlachta podniecona agitacją i winem, orzekła że wyjdą z szopy elekcyjnej i pierwszego napotkanego człowieka wybiorą królem. Tak się też stało. Pierwszym napotkanym był Żyd: Wal Katzenelenbogen. Wśród zgłębku i wiatów obwołano go królem. Skoro szlachta otrzeźwiała i elektowi przyrzekała się z bliska, wszystko potoczyło się inną koleją. Wybrany nie został pomazany, co się z nim stało, nie wiadomo, w każdym razie rodzina Katzenelenbogenów szczyty się tym, że wśród swych przodków ma króla polskiego.

Lubelski potomek króla był człowiekiem zamożnym, poza tym spełniał cały szereg funkcji społecznych. Przyjęcie odbyło się w dużym mieszkaniu jego domu przy ul. Lubartowskiej. Stół był zastawiony różnymi specjalami. Mnóstwo czekoladek, cukierków, — torty, słodkie wina i likiery. Gdy gospodarz zauważył leciutę grymas na mojej twarzy, uśmiechnął się ze zrozumieniem i zaraz na stole przede mną zjawia się wyborna pejsachówka, śledź, ryba i inne zakąski. Po kolacji znalazło się też wymienione cygare.

Noc była ciepła, piękna, czerwcową. Siedziałem na balkonie w towarzystwie moich uczennic i uczniów. Rozmawiali ze mną, marzyli, układali plany na przyszłość. Byłem w tej chwili jedynym Polakiem, nie tylko w tym licznym towarzystwie, ale i w całym domp a przypuszczam, że i w całej okolicy. Czyż mogłem wtedy przeczuwać, czy mogłem wyobrazić sobie w najbardziej koszmarnych snach — to co nastąpi za kilkanaście lat. Ze wszyscy, którzy ze mną w tej chwili rozmawiają, zginą śmiercią straszną i gwałtowną, że śladu po nich nie zostanie i że się zmieni zupełnie nawet wygląd zewnętrzny tej ulicy. Ze śledząc na miejscu, które będzie cmentarzem.

Na szczęście wtedy nie nie wiedziałem i nie przeczuwałem. Było cicho i dobrze. Noc zwolna przechodziła w naświetlony poranek.

Konrad Bielski

DWIE CIEKAWY WYSTAWY FOTOGRAFIKI

ANDRZEJ KŁOCZOWSKI

UWIELBIA nie wydać się szczególnie interesującym krakowskim fotograficznym. Pomimo świetnych tradycji ze Lubina wywodzi się m.in. Edward Hartwig, Lubelskie Towarzystwo Fotograficzne nie przejawiało zbyt intensywnej działalności. Długo wspomnieć, że od dłuższego już czasu lubimianie nie prezentowali swych prac na wystawach ogólnopolskich. Tym korzystniej rysują się na tym tle zaczątki żywego zainteresowania się tą dziedziną sztuki, przejawione przez Klub „Zamek”, mieszczący się w Lubelskim Domu Kultury. Zorganizowano tam w ostatnich miesiącach dwie interesujące wystawy.

W październiku i listopadzie ubiegłego roku zaprezentowano lubelskiemu społeczeństwu zbiorową wystawę prac Andrzeja Polakowskiego. Młody ten artysta pokazał dorobek świadczący o niewątpliwym talencie. Prace jego można by zaklasyfikować w dwie grupy. Wczesniejsze fotografie przejawiają skłonność Polakowskiego do wypracowywania ciekawych efektów formalnych. Rzeczywistość jest tu materiałem, tworzywem, które utrwalone na taśmie fotograficznej zostaje poddane „obróbce” laboratoryjnej, mającej na celu doprowadzenie do wyniku atakującego widza układami prawie abstrakcyjnymi. Jest to robota rzetelna, ale grożąca chwilami nudą, jak wszędzie tam, gdzie smaczki estetyczne górują nad wartościową ekspresyjnością. Charakterystyczna jest tematyka tych prac — dźwigi, maszyny, stalowe konstrukcje.

Nowsze prace przełamują jednak to niebezpieczeństwo. Jako główny temat pojawia się człowiek, niwlejsza pasja Polakowskiego staje się, wedle jego własnych słów, chwytanie życia na gorącym uczynku. Wydaje się, że tutaj właśnie stanął na właściwym dla siebie gruncie. Jego fotografie zaczynają ukazywać sprawy ludzkie, niedostrzegalne w zwykłej codzienności, małe zagubione postacie stają się, ku własnemu zdumieniu, głównymi bohaterami tej „komedii ludzkiej”. Są to materiały do reportażu, który przekracza chwilami ramy zainteresowań psychologicznych, a staje się uogólnieniem socjologicznym. Poprzednio dowiadujemy się formalnie-warsztatowe nie pozostawiając zapamiętania, wreszcie przeciwnie, zaśob ich się zwiekryzi, z tym że stają się teraz środkami wzmagającym ekspresję, nie będąc już jak dawniej, celami samostanym.

Wystawa ta była już czwartą wystawą indywidualną Polakowskiego. Poprzednie zorganizowano w 1968 r. w Poznaniu, w klubie studenckim „Fafik”, oraz w Salonie Wystawowym PTTK. Lublin oglądał jego wystawę zainicjowaną „Budownictwo w fotografii” w Klubie LPBP w 1961 r. Polakowski jest dwukrotnym laureatem Fotograficznego Konkursu Antykatolowego.

Prace jego były wystawiane na międzynarodowych wystawach w Berlinie, Moskwie i w Lund (Szwecja). Andrzej Polakowski zamieszcza swoje fotografie w pismach takich, jak: „Dookoła świata”, „Świat”, „Ty i Ja”, „Magazyn Polski”, „Fotografia” i wiele innych.

Wydaje się, że Lublin zyskał w osobie Polakowskiego fotografa łączącego nieprecyzyjną wrażliwość obserwatora z solidną znajomością warsztatu.

W marcu i kwietniu czynna była w tym samym Klubie „Zamek” w LDK „Wystawa Zaproszonych” zorganizowana z inicjatywą A. Polakowskiego i W. Borowskiego. Ambicją organizatorów było przedstawienie publiczności lubelskiej najciekawszych nazwisk polskiej awangardy fotograficznej. Była to w Lublinie pierwsza wystawa na tak dużą skalę. Na otwarciu Urszula Czartoryska, sekretarka redakcji „Fotografii” wygłosiła odczyt pt. „Czy fotografia musi być antropocentryczna?”. Zdaniem prelegentki fotografia ma — jak się wydaje — przed sobą dwie drogi: jedna to posługiwanie się obiektywem zbrójnym w najnowocześniejsze przyrządy do oglądania makro- i mikrostruktury materii, pozostająca z zasady na usługach nauki, dająca jednak czasami efekty niezwykle interesujące estetycznie. Druga pokazuje świat w wymiarach dostępnym codziennemu ludzkiemu widzeniu. O ile jednak dawniejsi fotograficy naciągający malarsko układały przedmioty w skomplikowane martwe natury, a ludzi lubili ustawić w wyszukanych pozach, to fotografia współczesna, ta reportażowa, dąży raczej do uchwycenia niepowtarzalnych momentów, niedostrzegalnych „złotym okiem”.

Niżej interesujące prace „Wystawy Zaproszonych” należą do tego ostatniego nurtu.

Wystawa lubelska była chyba wydarzeniem wyjątkowym poza ramy lokalne, szczególnie jeżeli uwzględnimy wagę reprezentowanych tu nazwisk. Pięciu jej uczestników — legitymowało się (z tytułem AFIAP, przyznawanym za wybitne osiągnięcia na polu fotografii przez Międzynarodową Federację Fotograficzną im. E. Ogrubalskiego z Poznania, Z. Rydela z Białostku, Wł. Strójny z Wrocławia i inni).

Z autorów najciekawszych prac przedstawianych na wystawie muszę by wymienić Bronisława Świątko (jest to jedyny polski fotografik, którego prace zakupiło Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Nowym Yorku), Zofię Rydel, Tadeusza Hołkę, Andrzeja Polakowskiego, Eustachego Kosobowski.

To krótkie omówienie obu wystaw byłoby niepełne, gdybyśmy nie wspomnieli o ekspozycjach, aranżowanych w ciekawy sposób przez Włodzisława Borowskiego i Jerzego Durakiewicza.

NIEZNANE WSPOMNIENIE O HIERONIMIE ŁOPACIŃSKIM

MARIA GAWARECKA

NIEMAŁO o Łopacińskim napisano, choćby przypomnieć tylko prawie 400-stronicowe wydawnictwo jubileuszowe z 1957 r., poświęcone jemu i Bibliotece jego imienia.

Mimo to zdarzają się jeszcze materiały, które uzupełniają wiadomości dotychczasowe i umacniają nasze poglądy na określone sprawy i ludzi.

Taką rolę odegrać tu może napisane o swoim profesorze wspomnienie jednego z młodych ludzi będących w kręgu wpływów Łopacińskiego — Mirosława Zbigniewa Kryńskiego.

Wiemy, że Łopaciński ceniał ponad wszystko naukę i że przyjaźnił się z wieloma osobistościami znanymi w owym czasie tak ze swoich prac poszukiwawczych, jak i działalności naukowej.

Jednym z nich był Adam Antoni Kryński, językoznawca, filolog, prof. Uniwersytetu Warszawskiego, współautor Słownika języka polskiego, zwanego Warszawskim.

Korespondencja między Kryńskim i Łopacińskim była wyjątkowo ożywiła. Pozostało z niej 45 listów A. A. Kryńskiego do Łopacińskiego¹, z listów zaś Łopacińskiego do Kryńskiego zachował się tylko jeden — dziś w zbiorach Biblioteki Publicznej m. st. Warszawy.

Tematem, wokół którego treść ich głównie się obracała, jest dziedzina językoznawstwa.

Pracom tym całkowicie obaj byli oddani i cieszyli się każdym nowym odkryciem zabytku języka staropolskiego. Dyskutowali również gorąco; widać, że Łopaciński nieraz korzystał z rad i wskazówek Kryńskiego, a Kryński ze swej strony pełen był niejednokrotnie podziwu dla badacza lubelskiego i utwierdzał go na drodze jego poszukiwań odnosząc się do niego zawsze z dużym szacunkiem, a zarazem serdecznością.

Sam Łopaciński zaprzyjaźnił się mocno z całą rodziną i będąc w Warszawie nigdy nie omijał bliskiego mu domu pp. Kryńskich.

„Przed samym wyjazdem wspominałem was” — pisze Kryński w liście z Grotowic 3 sierpnia 1892 r. — i żalłem się przed żoną, że macie przybyć do Warsz. tj. akurat wtedy kiedy nas już nie będzie i tutaj często was wspominałem... w Warszawie mam nadzieję, że się zobaczymy i pogadamy de omnibus et quibusdam aliis...”

A w liście z Warszawy 7 grudnia 1898 r.: „...proszę Was uprzejmie i żona do prośby mej się przyłącza, abyście raczyli z nami wliję przepędzić...”

I jeszcze z dziedzin związanych z pracą — „Wasz wybór na członka kor. Akademii zapewnił... Mam tę przyjemność, że pierwszy Wam tej godności zaszczytnej wieszczę z sercem...”. lub: „...w świeżym Kwartalniku 1898 zesz. II jest recenzja Waszego Parysa napisana przez Krećka z należytą rewerencją dla wydawcy” znanego zaszczytnie badacza Staropolszczyzny² i z uznaniem dla jego pracy...”

W jednym z ostatnich już listów Kryński pisze o swym synie — „...Mirosław wziął się do układania wzorów tekstów staropolskich, by je drukiem ogłosić. Każdy zabytek ma być poprzedzony krótkim wstępem. Odpisał już Kazanie Św. Krz. — książka niewątpliwie potrzebna...”

Zapewne sama atmosfera domu pp. Kryńskich sprzyjała takim właśnie zainteresowaniom, ale poważną tutaj rolę, jak się okaże, odegrał sam Łopaciński.

Wspomnienie o profesorze Hieronimie Łopacińskim Mirosława Zbigniewa Kryńskiego zbliża nas do osoby zasłużonego pedagoga i naukowca.

Wypowiedź młodego Kryńskiego wiązała się z projektem przygotowania większego wydawnictwa poświęconego pamięci profesora.

Mysł ta powstała gdzieś w latach 1910—1912 wśród grupy akademików z Lublina studiujących w Krakowie, którzy utworzyli tam Towarzystwo wzajemnej pomocy im. H. Łopacińskiego. Wydawnictwo to nie doszło jednak do skutku. Sądząc z rękopisu Mirosława Kryńskiego, miało ono zawierać i materiały o charakterze bardzo bezpośrednim, odtwarzającym atmosferę, jaka otaczała tego, po którym pamięć była ciągle jeszcze bardzo żywa.

Oto fragment rękopisu: „...Jestem niezmiernie rad, że mogę oto uwewnętrznić obecnie tę cześć, którą w pamięci swojej otaczałem zawsze osobą

śp. prof. Hieronima Rafała Lubicz — Łopacińskiego, bo bardzo wiele mu zawdzięczam, bardzo wiele dobrego od niego doświadczyłem, a nie udało mi się dotąd w inny sposób spłacić tych zobowiązań moralnych, które dobrowolnie względem niego zaciągnąłem. Myślę też, że ten wyraz holdu, jaki obecnie pamięci czcigodnego profesora składa młodzież, zgrupowana w Towarzystwo jego imienia, powinien również zawierać i tę moją cegiełkę, bo wspomnienia moje, datując się z ostatnich moich lat gimnazjalnych i pierwszego roku uniwersyteckiego, może będą do pewnego stopnia ilustrować, w jaki sposób odnosił się prof. Łopaciński do młodzieży naszej.

Nie mogę się szczyć tym, że byłem jego uczniem, owszem dane mi było rzadziej niż innym widywać go i korzystać z jego uwag i zapamiętań: on uczył w Lublinie, ja uczyłem się w Warszawie, ale wynagradzała mi to sówicie okoliczność, że był on jednym z takich przyjaciół moich Rodziców, jakich posiadają oni bardzo niewiele, nie wyłączając z ich liczby tych, co umarli. Sp. profesor nie zatrzymywał się nigdy w Warszawie, żeby nie odwiedzić naszego domu, dzięki czemu już od bardzo dawna mogłem się przysłuchiwać długim i ożywionym rozmowom jego z moim ojcem. Wspominam o tym, bo bez wątpienia wpłynęły te wieczory na większe zainteresowanie się z mej strony nauką, a że i bez tego atmosfera naszego domu była nią przesiąknięta, mógł więc nieodżałowany profesor zaprząć mnie już jako siódmoklasistę do pierwszych prac na serio: do przepisywania Historii o Aleksandrze Macedońskim z r. 1510. Niepodobna mi zapomnieć tego rodzaju egzaminu paleograficznego, jakim było odczytanie wobec niego i mego ojca fac simile'ów wydanej kiedyś przez niego właśnie (w pracach filologicznych) Reguły Tercjarzy w Polsce, nie sposób zapomnieć mi tego uczucia, z jakim — nieświadomie — na długo przed tym zdawałem wobec tychże sędziów egzamin z bibliofilstwa, rozklejając okładki kazań Birkowskiego z biblioteki mego ojca, znajdujących się wówczas w Warszawie, dzisiaj — w Miąszu i wydobywając z nich prawie kompletny egzemplarz koronki z r. 1607 (nieznanej Estreicherów): najmilszymi też wspomnieniami moimi pozostała ta poranka zimowa (w czasie ferii Bożego Narodzenia, spędzane razem z profesorem w Bibliotece Ordynacji hr. Zamojskich, gdzie pod jego kierunkiem zacząłem kopiować ową Historię. Zapewne, robiłem to z pedantyzmem do przesady posuniętym, z żarliwością neofity, ale bezprzebieżnie możność zwracania się częstego o wskazówkę, o radę, o rozstrzygnięcie ciągle — zwłaszcza z początku następczących się wątpliwości, a więc sama obecność i życzliwość zacnego profesora sprawiła, że kopia moja nie potrzebuje obecnie przeróbek.

Nie tu miejsce rozpisywać się, dla czego dotąd nie wykonałem tego, co właśnie uważam za obowiązek moralny, włożony wówczas na mnie: dla czego dotąd nie wydałem od lat tylu gotowej kopii Aleksandreidy, pomimo, że po profesorze Łopacińskim miała ona innych równie życzliwych protektorów (prof. Ignacego Chrzanowskiego, wreszcie Towarzystwo Naukowe Warszawskie, zwłaszcza w osobie jego sekretarza generalnego dra Franciszka Pułaskiego), rozpisalem się o tym i tak obszernie, a chodziło mi o zaznaczenie, jak prof. Łopaciński potrafił rozbudzać zamiłowanie do pracy użytecznej, zachęcać do niej, wreszcie choćby zniewalać i to nawet w dożach homeopatycznych, boć nie czym innym były jego przyjazdy do Warszawy i stosunek ze mną, a więc potrafił to czynić przygodnie, a jednak skutecznie.

Sam wiecznie zajęty czy to wykonywaniem podjętych prac, czy też rozbiciem nowych planów i projektów, zawsze pełen inicjatywy, nie uznawał bezczynności, nie uznawał młodzieży która nie dąży wytkniętą drogą. „Ze tam odleciały plewy — pisał do mnie 30.VII.1905 — w postaci lekomyślnych chłopców i leniuchów, to trudno, sami siebie karzą i, niewątpliwie, wkrótce żalować będą kroku nlerozsądnego, a może już żalują”.

Słowa te dyktowała czcigodnemu profesorowi — oprócz pewnej dozy żalu — szczerą troską o przyszłość młodzieży polskiej, o jej charakter, a także jej honor... „Wspomnienie moje ściśle się wiąże z wspomnieniem o profesorze Łopacińskim, wspomnieniem o kimś niezmiernie prawym, zawsze równym i tak bardzo jasnym że go nigdy niepodobna zapomnieć! I nie zapomnieć nigdy tego osłupienia, z jakim czytałem z Ojcem swoim, oczom własnym nie wierząc, wiadomość o jego tragicznej śmierci. Gdy po kilkakrotnym odczytaniu, zakorzeniła się w nas świadomość, że to jest fakt i że na to nie ma rady — już nie uczucie przerażenia, ale owładnął nami po prostu strach przed tą niesłychaną niesprawiedliwością, która nam zabrała jego, co do Ojca mego nie zwracał się inaczej, jak tylko

słowami: „Cóż ojciec”, albo jeszcze bardziej z ludową: „No, Ociec”. A może i lepiej się stało dla niego, że zabrał ze sobą na wieczne życie to przekonanie, które nas wszystkich wówczas ludziło, że wszystko zdąży ku lepszemu, i że za tą „jutrzenną swobodą” musi zabłysnąć już tylko „Zjawienia słońce”.)

- ¹ Polska Akademia Nauk w Krakowie — korespondencja do Łopacińskiego, Warszawa 17 lipca 1898 (PAN).
- ² List Kryńskiego do Łopacińskiego, Warszawa 17 lipca 1898 (PAN).
- ³ List Kryńskiego do Łopacińskiego, Krynica 17 lipca 1898 (PAN).
- ⁴ List Kryńskiego do Łopacińskiego, Eldorado 24 lipca 1906 (PAN).
- ⁵ Mirosław Zbigniew Przegonia-Kryński: Ze wspomnień o śp. profesorze Hieronimie Łopacińskim. Miąszo, 24.VIII.1912 r. Rkps.

WIEDZA POMAGA W ŻYCIU

ZOFIA MIKULSKA

DOBIEGA końca konkurs czytelnicy „Wiedza pomaga w życiu”, podjęty przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, a obejmujący szereg organizacji społecznych i oświatowych.

Organizacyjny punkt ciężkości w akcji konkursowej na terenie województwa lubelskiego z natury rzeczy przypadł Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego. Placówka ta była czynnie wspomagana przez instytucje zainteresowane — jak oddziały kultury, inspektoraty oświaty, domy kultury, komitety ZMS, zarządy LPZ, z których ZW Związku Młodzieży Wiejskiej i ZW Towarzystwa Wiedzy Powszechnej wykazały szczególną przedsiębiorczość.

Niezależnie od rzeczowych wyników samego konkursu zauważyć można zacieśnienie się współpracy wśród jego organizatorów, co szczególnie widnie na przykładzie takich „kooperantów”, jak Biblioteka Wojewódzka i ZMW: coraz więcej kół ZMW korzysta z książek, grupując się przy bibliotekach, bibliotekarze zaś, nawet gdy sami do młodzieży nie należą, są inspiratorami zakładania kół nowych (Wólka, powiat lubelski, Trzciniec, powiat lubartowski). W wyniku współdziałania Biblioteki Powiatowej z ZP ZMW w Lublinie w okresie trwania konkursu członkowie tej organizacji podjęli pracę w 8 bibliotekach gromadzkich, 12 filiach i 10 punktach bibliotecznych. Można też mówić o finansowych efektach współdziałania bibliotek z instytucjami terenowymi: w roku 1961 skutkiem tej współpracy było uzyskanie 89.475 złotych dodatkowych kredytów na

cele biblioteczne w powiecie lubelskim. Ze względu na charakter województwa pierwsze miejsce wśród tematów konkursowych zajmują zagadnienia rolnicze. Współzainteresowane w tym przedmiocie organizacje na wsi to kółka rolnicze, zespoły przysposobienia rolniczego i kółka gospodyń wiejskich.

Akcje oświatowe przeprowadzono najczęściej metodą wykładów i odczytów łączonych z zajęciami praktycznymi. Np. w Aleksandrowie (powiat lukowski), biblioteka gromadzka wspólnie z agronomem zorganizowała zespół czytelnicy wysłuchujący dwa razy w tygodniu wykładów z dziedziny mechanizacji rolnictwa, uprawy ziemniaków i walki ze słonką ziemniaczaną.

Regularne szkolenia rolnicze, zorganizowane wspólnie z kółkami rolniczymi, odbywają się w 10 bibliotekach gromadzkich powiatu zamojskiego. Nie pominięto też innych form propagandy i kształcenia, jak np. wystawy i konkursy.

Ciekawie pomyślaną wystawę rolniczą urządził punkt biblioteczny w Kolanie (powiat parczewski) przy współdziałaniu biblioteki gromadzkiej w Przewlece. Obrabowała ona prace na roli w czterech porach roku i osiągnięcia miejscowych rolników. Wystawę wykorzystano dla propagandy wybranej literatury rolniczej i uprawy odpowiednich dla tamtego terenu roślin przemysłowych.

(Dokończenie na str. 15)

ZABYTKI

LUBLINA

Kaplica zamkowa — ten najcenniejszy obiekt sztuki sakralnej Lublina poddany był bardzo starannym pracom konserwatorskim, architektonicznym i malarskim. Dzięki nim ujawniono etapy budowy kaplicy i pierwotne wartości polichromii wnętrza.



MIASTO ONGIŚ WIELOJĘZYCZNE

(Dokończenie ze str. 3)

kłopotów, który był świadectwem pochłonięcia, na którego dźwięk uczeni panowie bezbłędnie odgadywali: „Pan z Chełma, A pan? Z Włodawy oczywiście. A kolega z Frampola, zaraz poznać”. Chodziło właśnie o to, aby „nie zaraz”, aby jak najszybciej się zasymilować, zniknąć w barwnym tłumie „wielkomijskim”. Tu po raz pierwszy zrozumiałem sens słowa „wysferzył się”, po raz pierwszy, nie wierząc własnym oczom, widziałem młodych ludzi, wypierających się publicznie i prywatnie własnych ojców i matek, tu wraz z wieloma innymi odczułem gorzki smak upokorzenia, niezawinionych „grzechów”, okrucieństwa stosunków międzyludzkich, pogardy do małego człowieka.

Tu najdokładniej poznawałem wartość słowa, owego wyświechtanego frazesu, tego samego, który dotąd w wierszu Kasprowicza brzmiał niezrozumiale, może sztucznie, zwłaszcza w interpretacji nie uznającego podziału polonisty.

Studiowałem synonimikę.

Jak dotąd wiedziałem, że w województwie grasują bandy. Grasał niejaki Mucha, który w oczach żądnych przygód chłopców zdobył sobie sławę Dubrowskiego Puzszkina. Mucha wyzwała: pokrzywdzonych, napadał dwory, był nieublagany w stosunku do bogatych, zagrabione mienie rozdzielał wśród ubogich. Ile w tym było prawdy, a ile pobożnych życzeń roz czytanej młodzieży — Bóg wie. Pamiętam, że kolega nasz bożył się na wszystkie świętości, iż widział w Sawinie na rynku takiego Rinaldo-Rinaldini, który z olbrzymiego worka wyciągał garściami banknoty, rzucał je w tłum i krzyczał:

— Chrystus rozdawał wino, a ja pieniądze. Bierście, bierście, bracia

ubodzy, albowiem wasze jest królestwo na ziemi.

To królestwo na ziemi zapadało nam głęboko w serca, a jeszcze więcej bohaterstwo grasującego bandyty i jego słowa, do złudzenia przypominające werset z pisma św., cytowanego z pietyzmem na lekcjach religii.

Mówiło się oczywiście i o innych grasujących bandytach, którzy bezlitośnie napadali na samotnie stojące chałupy, na domy na przedmieściach, o bandytach łaknących krwi i pieniędzy, których skutych prowadzono na oczach przerażonych gapiów do strasznych więzień, gdzie karmiono ich wedle opinii wtajemniczonych szczerzym mięsem. A przecież mówiło się, że Polska, która „powstała, by żyć”, nie będzie miała więzień, że nigdy więcej burzą rozparty w dorocznie nie będzie obrzygiwał błotem czającego się w bramie żebraka. Czytało się Żeromskiego, uczyło się na pamięć całych fragmentów, wysyłało listy do czcigodnego autora i ślubowało Mu wierność do zgonu. Wierzyło się na słowo. Uczelniani politycy twierdzili, że Żeromski już-już obejmie władzę i przystąpi do budowy szkłanych domów. W Lublinie oczywiście najpierw i znacznie od burzenia starych uliczek, gdzie w oficynach w jednej izbie gnieździło się pięć-sześć rodzin.

Więc pewnego dnia dowiedzieliśmy się, że gdzieś w terenie grasuje Okoń. Książd. Jeśli grasuje, to oczywiście bandyta. Okazało się, że nie, to jest prawie, bo „dyble na własność, na świętą własność ludzi”. I że ojciec święty rzucił na tego księdza anatemę. „Strach żył nam włosy. Mówiło się wieczorami, późno w noc o tym wyklętym księdzu. W którąś niedzielę wybrałiśmy się całą paczką, by wysłuchać go na wiecu. Rzeczywiście był w sutannie, nawet zaczynał jak w kościele, od cytowania pisma świętego. Grzmiał, groził, obiecywał. Ludzie

sluchali, jedni kiwali głowami, inni pokpiwali. Śmieszono nas, że dookoła mównicy stali policjanci i pilnie zapisywali treść mowy. Wacek K. dopytywał się:

— Czy oni protokółują?

Wkrótce Czesław Wycech wyjaśnił nam, że na cmentarzu lubelskim spoczywa inny książd, z Bilczy, który ciekawie rzeczy głosił w swojej „Złotej Książeczce”. Szukaliśmy tej książeczki, dyskutowaliśmy żarliwie o takiej wojnie, po której chrzty, śluby, pogrzeby będą dawane bezpłatnie, a na którą wszyscy powinni iść. — Wszyscy? I my też? — Oczywiście, bo to będzie wojna sprawiedliwa, jak w Rosji.

Później przyszła kolej na enpecha. Nie wiedzieliśmy, co oznacza ten skrót, nie wiedzieliśmy w ogóle, że to skrót. Mówiło się: „grasuje enpecha, trzeba się jej wystrzegać, bo będzie z niej nieszczęście”. Z niej? Więc to coś rodzaju żeńskiego. I znowu ktoś uszuźnie wyjaśnił: — „Frajerzy hrubieszowscy, o Staszcu uczyliście się, Staszca znacie, a o NPCh nie, ani słowa? — Więc biegliliśmy za Krakowską Bramą, gdzie na chłopskim wozie mówca z rozwianą czupryną opowiadał o panach, którzy strzelali do bab wiejskich, każąc im kukać z wierzchołków drzew. Mówił gorąco, zaklinał, przekonywał, rozdawał książeczki, ulotki. Ale obok stały panisusie, wydzierały z rąk „diabelską bibułę”, podpalały ją na naszych oczach, zawodziły histerycznie. I mimo wszystko, podobaly się nam mowy enpechowców, trafiły wprost do rozumu, zapalały ogień, zmuszały do myślenia.

Wreszcie ktoś wspominał nazwisko Wojewódzkiego. Kaepowic. Od tego się zaczęło, od nazwiska, od skrótu. „Przekreśliła się z hukiem scena obrotowa, już grają nową sztukę”.

Grano ją wszędzie, na wszystkich niedoświetlonych uliczkach Lublina.

TO NIE BYŁ ROK JAŁOWY

(Dokończenie ze str. 1)

KIELCE — RZESZÓW. Ostatecznie usankcjonowała nasze tendencje rozwojowe wielka Międzywojewódzka Narada Stowarzyszeń Społeczno-Kulturalnych w Lublinie z dnia 29 marca 1962 roku, w sprawie współpracy, koordynacji i rozwoju społecznego ruchu kulturalno-oświatowego na terenie województw: białostockiego, kieleckiego, lubelskiego i rzeszowskiego. Rozdział IV Uchwały tej narady postuluje m. in.:

1. Dalsze wydawanie „Kamenu” w charakterze dwutygodnika społeczno-kulturalnego — z perspektywą przejścia z czasem na tygodnik.

2. Nadanie piśmie „Kamenu” jeszcze bardziej zdecydowanego charakteru trybuny międzywojewódzkiej, która umożliwiłaby szeroką wymianę doświadczeń w pracy społeczno-kulturalnej oraz reprezentowała dorobek literacki ze szczególnym uwzględnieniem młodych talentów i całokształtu życia kulturalno-oświatowego.

3. Dalsze poszerzenie Kolegium Wydawniczego „Kamenu” o przedstawicieli województw: białostockiego, kieleckiego i rzeszowskiego, z tym że każde z nich reprezentowane byłoby w Kolegium przez dwóch przedstawicieli.

4. Zorganizowanie w poszczególnych województwach narad środowiskowych, w których uczestniczyliby przedstawiciele wszystkich placówek, instytucji, towarzystw regionalnych celem powołania do życia stałych społecznych komitetów redakcyjnych „Kamenu” w tych województwach, oraz delegowanie spośród nich stałych przedstawicieli do Kolegium.

Pozwoliłam sobie naszkicować te momenty kształtowania się „Kamenu” jako organu czterech województw wschodnich, momenty, które warto nie tylko przechować dla historii prasy prowincjonalnej, ale i podać do wiadomości ogółu Czytelników naszego pisma. Nie jest chyba rzeczą zbyteczną, by Czytelnik, otrzymujący pismo gotowe, poznał je trochę od strony — laboratorium. Dużo by jeszcze się znalazło ciekawostek w tym zakresie, ale

o nich może innym razem, w przyszłości.

Przytoczone fakty są dowodem, że placówka imieniem „Kamenu” nie zmarnowała roku kulturalno-oświatowego, który zamyka się obecnymi Dniami Lublina. Możemy więc z czystym sumieniem wziąć udział w pięknym święcie.

Zdajemy sobie jednak sprawę, że przed nami i naszymi sojusznikami jest cały ogrom pracy. Poważniejsze osiągnięcia nigdy nie bywają rezultatem samego entuzjazmu. Oczywiście współpraca czterech województw stworzyła dla redakcji „Kamenu” potężne bodźce, mobilizujące ją do nowych inicjatyw, ale całe przedsięwzięcie wymaga jeszcze dokładniejszej organizacji. Należy jak najszybciej przystąpić do pełnego wprowadzenia w życie cyto-

wanych uchwał Międzywojewódzkiej Narady Stowarzyszeń Społeczno-Kulturalnych. Powinny się odbyć niezwłocznie narady środowiskowe w poszczególnych województwach.

Chodzi przede wszystkim o wypracowanie profilu pisma jako organu czterech województw wschodnich, pisma, którego nasi sąsiedzi stają się współgospodarzami. Chodzi o celowe i systematyczne organizowanie materiałów, które będziemy zamieszczać już nie we „wkładkach”, lecz w odpowiednio ukształtowanych działach. Materiały te powinny naświetlać problematykę regionu wschodniego, ukazując ją w kontekście ogólnopolskim.

Właściwa koordynacja wysiłków jest *conditio sine qua non* powodzenia naszej idei współpracy.

Maria Bechzyce-Rudnicka

ZWYCIĘŻYLIŚMY TRUDNOŚCI

Kilka odpowiedzi dyr. A. Cwojdzkiego na pytania związane z zakończeniem sezonu Państwowej Filharmonii im. H. Wieniawskiego.

— W jaki sposób Filharmonia kończy swój sezon?

— Ponieważ łączy się to z dniami Lublina, dajemy trzy koncerty symfoniczne i jeden kameralny. Poza występem znanego skrzypka Palulisa, w jednym koncercie wezmą udział absolwenci lubelskiej średniej szkoły muzycznej.

— Co najbardziej wyróżnia lubelskiego odbiorcę muzyki poważnej od odbiorcy innych miast Polski?

— Środowisko lubelskie jest bardzo wdzięcznym odbiorcą muzycznym. Kultura lubelskiej publiczności jest naprawdę bardzo ujmująca. Ten moment zawsze podkreślają soliści zapraszani na gościnne występy. Jeżeli nawet zdarzy się coś nieprzewidzianego, lublinianie reagują wyjątkowo kulturalnie. Na marginesie tego muszę stwierdzić, że środowisko lubelskie zajmuje pierwsze miejsce w kraju pod względem umuzykalnienia. Lublin,

który liczy ok. 190 tysięcy mieszkańców, dostarcza tygodniowo do sali koncertowej 500 osób, podczas gdy wskaźnik słuchacza w innych miastach kształtuje się z reguły o wiele niżej. Nawet w Warszawie, Wrocławiu, Łodzi czy Szczecinie. Ponadto warto zaznaczyć, że 90 procent publiczności stanowią nabywcy abonamentów, a więc stali wielbiciele muzyki poważnej.

— Jakie osiągnięcie ubiegłego sezonu uważa pan dyrektor za największe?

— Nawiazanie stałego kontaktu z Fabryką Samochodów Ciężarowych, na skutek inicjatywy Rady Zakładowej FSC. Dawaliśmy co miesiąc po dwa koncerty. Dzięki temu zyskałiśmy wielu nowych miłośników muzyki. Takie porozumienie z zakładem produkcyjnym jest bodajże bez precedensu. Druga sprawa to współpraca z Rzeszowem i Kielcami. W ramach tej międzywojewódzkiej współpracy daliśmy kilka koncertów, między innymi taką pozycję repertuarową, jak III Symfonia Karola Szymanowskiego, która zainaugurowała sezon w Lublinie. Trzecie osiągnięcie to zacieśnienie istniejącego kontaktu ze szkołą muzyczną. Wprowadziliśmy zwyczaj, że absolwenci tej szkoły koncertują w naszej Filharmonii, co jest zupełnie nie praktykowane w innych ośrodkach muzycznych.

— Na jakie trudności natknęła się Filharmonia?

— Trudności dotyczyły przede wszy-

(Dokończenie na str. 16)

Niektórzy, zili później wprost do biur partyjnych, stąpali sztywno, bili ościami i meldowali: „Przyszliśmy się zapisać do Polskiej Partii Socjalistycznej”. Wychodzili dumni, rozpromienieni.

Inni zasłali różne odmiany ruchu ludowego, najtwardsi, którzy umieli podjąć decyzję, szukali kontaktów z kaepowcami, zgromadzili wokół siebie sympatyków, przyjaciół. — Lublin — mówił wówczas jeden z najlepszych synów tego grodu — choć to miasto, w którym ludzie mówią różnymi językami.

I tak oto, w mieszczańskim, legionowo-socjal-demokratycznym mieście, tuż obok jedynej w tej polaci Europy katolickiej uczelni, niemal o krok od dziedzińca uczelni wyrastały nowe tradycje, wykuwały się koncepcje, których źródłem były idee Wielkiego Przetworzenia. Nie to, że w cukierni Rutkowskiego starsi panowie wyciągali różowe dłonie, zaklinałi się:

— Tu, panie, dzieju, tu na tym miejscu prędzej mi włosy wyrosną, niż nasz naród pójdzie na lep hasel komunistów...

Siedząc w tej samej kawiarni, w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim i słucham rozmów o projektach wycieczek na Krym, do Soczi, o odbytej świeżo podróży do Czechosłowacji, Węgier, Bułgarii, o „małej unii lubelskiej” i myślę, jak by to godnie uczyć tegoroczne święto Manifestu na łamach „Kamenu”. I myślę jeszcze o ludziach, którzy siedzieć będą w tej samej kawiarni za dziesięć, za dwadzieścia lat. Co będą wspominać? Jak?

Przy sąsiednim stoliku młodzi ludzie pochłonięci rozmową. Skąd są? Z Hrubieszowa, Chełma, Włodawy? Może z Warszawy? Nie odgadnę.

Wychodzę na Krakowskie. Rozglądam się uważnie, nasłuchuję. Nie ma wątpliwości: to już rzeczywiście miasto jednojęzyczne.

Waldemar Babinicz

Żywoł ostatniego z Jagiellonów

(Dokończenie ze str. 8)

magnaterii z powodu trudności osobistych. Od episkopatu przecież mógł zażądać rozwód z trzecią żoną Katarzyną, lecz iluż magnatów idzie na pasku polityki habsburskiej! Rozwód i czwarta żona, zdolna do urodzenia syna, choćby to była tylko podejrzana Giżanka! A tymczasem starzeje się infantka Anna, która z racji dość obfitych kształtów mogła być poślubić Iwana Groźnego.

Te sprawy osobiste i dynastyczne krzyżuje Gołębiowski ze spletem spraw wewnętrznych i zagranicznych. Moskwa dąży do scalenia ziem ruskich i do portu na Bałtyku. Przez Habsburżankę, przez posła Dudycza i frakcję magnacką Ferdynand dąży do wpływu na Polskę, lecz sam ma kłopoty z Węgrami, za którymi stoi Turcja, popierająca Izabelę Jagiellonkę i jej syna, Jana Zygmunta Zapolyę. Krzykacz Stanisław Orzechowski gardłuje za wojną z Turcją, która Polsce dotąd nie zagroziła. Linia polityki północnej pomimo niepowodzeń w wojnie z Iwanem Groźnym układa się pomyślniej. Nic dziwnego, tworzył się sojusz z Janem Wazą mężem Katarzyny Jagiellonki, ale Katarzyna Habsburżanka ze swoim dworem to skomplikowana sieć intryg na osi krakowsko-wiedeńskiej. Ferdynand ma kilku synów, jeden z nich mógłby być królem polskim. Książka Gołębiowskiego wszystkie te problemy uwadnia i splata w całość.

Jest to, jak było powiedziane, kino tylko zbeletryzowane, biografia popularno-naukowa, ciekawa i pożyteczna. Gołębiowski zabiega o jasną, intelektualnie skonstruowaną relację, wplata on źródła, jak *Historia prawdziwa o przygodzie książęcia Jana i królewnej polskiej w funkcji właśnie beletryzującej*. Cytat stylizuje rzecz językowo autentycznym tonem staropolszczyzny.

Książkę Gołębiowskiego można zalecić miłośnikom lektury historycznej, warta jest czytania i dyskusji. To może miał na myśli autor, gdy zakończył pracę słowami: „Król nie żył”. Obrabowanie ciała przez dworzan i Giżankę (już w dramacie Szujskiego *Twardowski*) do rzeczy nie należy. Obrok duchowy niech znajdzie sam czytelnik.

Maria Grzędzińska

Eugeniusz Gołębiowski: *Zywoł August. Żywoł ostatniego z Jagiellonów*. Czytelnik 1962, 8° s. 1-431.

PROFILE

AUTONOMICZNA KOLUMNA MŁODYCH

But

MAREK SAGAN

Z POWIERZCHOWNOŚCI podobny był do wygłansowanego buta, ale nie można mu było nic zarzucić, robił wszystko, co było konieczne i powszechnie uznawane. Dlatego życie jego przypominało uregulowany strumień, w którym woda płynie nie za wolno, nie za szybko i nigdy, ale to nigdy nie występuje ze swych brzegów. Teraz był tu, na wielkim karnawalowym balu. Stał w miarę oświeśmiałony i w miarę swobodny obok gawędzącej grupki mężczyzn; rozglądał się po sali, lustrował ludzi, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, że jest pomiędzy tymi ludźmi jako jeden z nich. Oni tańczyli, albo klaniaли się sobie, mówili odświętne słowa, podawali dłonie, a zewsząd płynęły uśmiechy, uśmiechy...

Oczywiście i on także uśmiechał się, ale nie tak jak inni, nie. Uśmiechał się dyskretnie, półgębkiem, bo przecież byli tacy, którzy nie uśmiechali się wcale! Z tych samych powodów nie tańczył, bo chciałby też zarazem tańczyć i nie tańczyć, ale nie wiedział, jak ma to zrobić.

W każdym bądź razie nie tańczył i to było niewątpliwe.

„Jeszcze zaczekaj — rozważał — nie wszyscy tańczą i w ogóle przecież wiesz, że nigdy nie należy zbyt pochopnie czynić, tym bardziej, gdy nie wiadomo co, jak i gdzie. Przecież może okazać się, że lepiej było nie tańczyć... tak, ale również dobrze może okazać się, że jednak korzystniej było tańczyć”.

Konkretna decyzja nie przychodziła, a ten stan niepewności i zwlekania stał się coraz bardziej niepokojący. Coś tu nie było w porządku i nie tak jak zawsze.

„Może rzeczywiście powinieneś już tańczyć? Przecież przyszedłeś tu, na bal, żeby bawić się i tańczyć”.

No tak, ale jak się okazuje, to nie jest takie proste ot, podejść, uklonąć się i...

A może zatańczy następny taniec? Ale nie, nie zatańczył. A może zagraja jakieś białe tango, albo walczyk biały? Ale nie, nie zagrał.

Był już więc prawie zdecydowany zatańczyć.

„Tyle kobiet... dwa, trzy kroki...”

Tak zaraz pójdzie, ukloni się i nikt nawet on sam nie będzie w stanie sobie przeszkodzić.

„Ale bądź co bądź...”

Orkiestra znów buchnęła fortissimo, zagrzmiąły wszystkie instrumenty w jakimś modnym przeboju.

Niezdecydowanie klucło go jak zadra: „Przecież wszyscy już tańczą! A ty? Tak, już czas, naprawdę czas, żebyś zaczął tańczyć, jesteś już nawet zażenowany. Chociaż?... Zastanów się, bez pośpiechu, nawet wszystko co cię otacza poczeka na ciebie. Nuże pośpiesz się, nie ociągaj się, tańcz! Cóż to? Znowu jakieś opory? Tańcz!”

Ale była już przerwa. Po przerwie znów muzyka, znów tańce i znów: „Tańczyć czy nie tańczyć... tańczyć!” Zdecydowanym krokiem poszedł po isniącym parkiecie, głęboko, głęboko uklonił się i najwidoczniej o jeden centymetr za głęboko, bo nagle poczuł, że nie może się wyprostować!

Partnerka wstała, siadła i jeszcze raz wstała i siadła. A on trwał zastygły w ukłonie niczym łuk napięty do ostateczności.

Raz po raz nagłymi podrywami próbował się wyprostować, ale daremnie. Oczekał moment, potem znów wysiłek i tylko bezradnie uśmiechnął się do partnerki, bagatelizując nieszczeście, którego doznał. Spuścił wzrok, popatrzył na swoje nogi i... z radosną ulgą stwierdził, że ma rozwiązany but! Długo, powoli i bardzo skrupulatnie zawiązywał go — wreszcie zawiązał. Switało. Kura zapiała.

ANDRZEJ TCHÓRZEWSKI

MAREK KOTLIŃSKI

Niedziela

* * *

stoi róża
edemknie płatki
opadnie
co pozostanie z domysłów
gdy zmysł przyjmie różę
i otworzy
co z poetów
bez róży i bzu
co się stanie z nami
gdy już nie będzie
jakiegokolwiek róży.
nawet róży wzruszenia
rozkwitającej na oślep.

plomyki gaszone
zapalki,
pejzaże kominów

chodź mały
pokażę ci słońce
bulkę
za dwa złote
lub
tą mniejszą
taniej
ci kupię

czasem
niebiesko wyprane
niebo
schodzi do kominów
i wtedy
wszystkie
szare bluzy
myją ręce
i dwa
lub więcej
wkładają uśmiechy

chodź mały
bulkę
lub
nie
ciasto
ci kupię

fotoplastikony i lunaparki
antykwarisze
na stragany
powyciągają
stare
i gramofony

a potem
znów
plomyki gaszone
zapalki
pejzaże kominów

RYSZARD KORNACKI

Wiersz niedokończony

I

Ulica na przestrzał
Konstrukcje ceglanych domów

dźwigają ciężar
ponad
zdziwienie dwuwymiarowych
dachów
Okna z trzaskiem
zamykają dzień
Ze szpar wycieka smutek
reżyszerzony jak oczy

II

Na drutach telefonicznych
wróble delikatnie
opuszczają skrzydła
i cicho zamykają dzioby
Ludzie wtłoczeni po łokcie
w usta horyzontu
z wdzikiem
wypuszczają atom

III

i będzie ziemia
co długość i szerokość
niecałowana
preludium
w zamkniętych skrzypcach
A ludzie
chwycają się za ręce

MARIA BALLOD

Epilog

Dobrzy ludzie
błogosławcie zdarzenia
które przysły,
błogosławcie i te
co przyjdą

(Czechowicz)

Błogosławcie
białą krechę międzyzdarzeń
pęknięcia
nim się rozpierzechną
wypełnijcie
chlebem błogosławieństw
na dziś
ludzie frasośliwi

Wyobraźnia

JERZY SPRAWKA

Odechdzą ryby ze złotymi oczyma
Przychodzą ryby ze szklanymi oczyma
Odechdzą
Przychodzą
Ryby.
Płetwami ocierają łuski z potu
Związany człowiek leży na dnie
akwarium.
Wąskimi ustami chwyta resztki
czystego powietrza
To ręce sprzedawcy pachną
człowiekiem
Po ile kilogram?

* * *
chodź
na na na
pańsz
piękna smycz
ja nie biję
kielbasa
świecna smycz
nie uciekaj
najpierw smycz
jak ci w niej do twarzy
ha ha ha
MARSZ

Już jutro nie wypiję klina,
drzwi od pokoju są bez klamki,
glukoza, cebion i strychnina
zastąpią spirytusu lampki.

A zaczęło się tak:

Siadł przy moim stoliku
był sam
i zapytał po cichu
czy go znam
...I wypiliśmy brudzia
ja i on
tak poznała nas wódzia
Wacław i John.

Wspomniano już, że „AKWARIUM”, to najmocniejszy tom Mrozowskiego. Częściowo dzięki „Johnowi”, zbiór ten jest przesileniem, szczytem i podsumowaniem poetyckim. Końcowy cykl „Wiersze niedrukowane”, to dziennik liryczny, dojrzały, ale nie wnoszący już nic nowego.

Znów powraca motyw śmierci — nie jako okazyja do buntu, rozpacz i itp. Śmierć — to dla Mrozowskiego wejście w przyrodę („O śmierci”). Powracają też — jeszcze raz — lata.

dzieciństwa i młodości, wspomnienia
przyjaciół:

Czy pamiętasz nasz wspólny pokój
na Dobrej 9, u Rozalii?
gdzie Łoboda z Franceską, i my?
I ten ranek, Witkacy z kontualią
w trzydziestym piątym roku,
dwie lesbijki, Ofl Montalk z Sophie?
(XXX „Józefowi Henrykowi
Czechowiczowi”)

Mrozowski, mimo zbliżeń osobistych z awangardą przedwojenną, pozostał z dala od wszelkich sporów teoretycznych. Był i pozostał tzw. poetą tradycyjnym. Dziś w języku zawodowej krytyki, jest to termin niemal obelżywy, synonim poezji „drugiego rzędu”. Wychodząc z tych kryteriów, można wytoczyć Mrozowskiemu szereg zarzutów: retoryczność, wtórność warsztatu poetyckiego, postaw filozoficznych, motywów, metafor etc. Całość jednak wychodzi obronną ręką: jest to poezja prosta i bezpretensjonalna, o głębokim ładunku lirycznym — tym bardziej cenna, że będąca już — niestety — w odwrocie.

MOJA RECEPCJA

HENRYK PAJAK

RILKE postulował kiedyś, że poeta powinien zacząć pisać w trzydziestym roku życia, dopiero wtedy bowiem stać go na dojrzałe, syntetyczne spojrzenie.

Tak zaczął Wacław Mrozowski. Debiutował w trzydziestym pierwszym roku życia tomem wierszy „Mosty nad życiem”, od razu wchodząc w problematykę, która będzie kształtować jego całą późniejszą drogę poetycką.

Wyszedł, a właściwie pozostał w kręgu poetów z tzw. awangardy czechowiczowskiej, współtworząc ją, czego dowodem (jednocześnie) są wpływy, którym ulegał — Czechowicz i Bronisława Michalskiego, jednego z najczystszych i najbardziej zapomnianych liryków dwudziestolecia.

Mrozowski debiutował w „Kamieniu”, z której wycinki debiutanckich wierszy przechowują dziesiątki głosnych później poetów dwudziestolecia i lat powojennych. Potem przeniósł się do Warszawy, później Łodzi, poznał i Śląsk, by znów powrócić na stałe do Łodzi.

O wszystkich tych perypetiach można dowiedzieć się z jego „Wierszy wybranych”, będących liryczną autobiografią poety. Motywy biograficzne stanowią tu bogaty materiał, z którego autor czerpie swój liryzm, filozofię życiową (stoicyzm człowieka mocno doświadczanego przez życie):

Tak. To jest życia mego wina,
że tak odchodzę bezboleśnie.
Córka nie żyje, brakło syna,
wszystko zaczęło się za wcześnie.
(z tomu: „Akwarium”)

To fakty. Wnioski z nich — filozoficzne, są typowe dla ludzi patrzących

na życie z „drugiego brzegu” — obok stoicyzmu — nuta gorczy i rozczarowania:

I tak zaczął się dramat
zaczęty przed laty,
bez oklasków samotnie,
wśród mgieł i majaczeń.
(z tomu „Drugie brzegi”)

W pierwszych zbiorach („MOSTY...”, „RZECZYWISTOŚĆ”, „DOBRANOC...”) przeważają wspomnienia z dzieciństwa, obrazy rodzinnych stron — sielskie „pachnące miodem”:

Tu był mój dom. Pochylił i niski
gontem pokryty i zarosty mchem.

Dołącza się do tego egzotyka krajobrazów wschodniej Polski. Mrozowski daje się tu poznać jako mistrz krajobrazu, służącego zwykle do uplastycznienia refleksji. Najczęściej jednak krajobraz, to miejsce ucieczki:

Tu przyszedłeś, aby ciszy szukać,
aby zgluchnąć, nie wiedzieć,
nie widzieć
(„Pejzaż”)

W tomie „DRUGI BRZEG”, rozpoczyna się katastrofalna przyjaźń z Johnem Barleycornem, by w najmocniejszym tomie Mrozowskiego, „AKWARIUM”, dojść do pełnego głosu. „John Barleycorn”, to animacja alkoholu, złożenie słowotwórcze w języku angielskim, użyte przez Jacka Londona w jego powieści autobiograficznej pt. „John Barleycorn”. Wiersze „pijackie” Mrozowskiego są bez precedensu w liryce polskiej. Alkohol nie jest tu, jak np. u Gałczyńskiego — tematem pogodnych „podchmielonych” wierszyków. John Barleycorn Mrozowskiego — to molołoch, osaczający człowieka, miazdzący wolę, wszechmocny. Chodzi o granicę nalogu:

*) Wacław Mrozowski „Wiersze wybrane” Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1962.

(Dokończenie ze str. 8)

cyflicę czasu zdeterminowanego wiadomą sytuacją polityczną.

Bohater „Bezdroży”, Aleksiej Iwanowicz Gutenberg jest radzieckim oficerem i... niemieckim żandarmem. Przypadać może oryginalność założeniu powieściowemu nie posiadającemu filiacji w beletrystyce pokrewnej tematycznie. Jako młody (dwadzieścia lat) absolwent szkoły oficerskiej dostaje się do niewoli już w pierwszych dniach ofensywy hitlerowskiej na Związek Radziecki. W niewoli nazwisko i niemieckie pochodzenie ojca (konfrontacja ze stryjem — bauerem w Schentendorf) pcha go wprost w objęcia „repatriacji” i przywraca „prawowitej” ojczyźnie. Gutenberg staje się nawet funkcjonariuszem Feldgendarmie, by ostatecznie odepchnąć włączaną weń (bez powodzenia) ideologię faszystowską i zginąć w oddziale partyzanckim.

Tak wygląda „konsept” fabuły, wzbogaconej w powieści o szereg wątków ubocznych pomyślanych równie „sensacyjnie”, i „antyschematycznie”. Czasem nawet doprowadzonych do granicy prawdopodobieństwa. A więc nieoczekiwana miłość pielęgniarki niemieckiego szpitala do rannego jeńca, jeszcze nie określonego w swej nowej sytuacji, jej bezwzględnie szczera pomoc niesiona partyzantom po porwaniu jej do oddziału, nadmierne nadzieje szefa Gestapo związane z osobą „przekabacanego” Gutenberga itd. Podobnie „nietypowych” sytuacji w „Bezdrożach” jest sporo i gdyby dokumentacja psychologiczna oraz sugestywniejszy rysunek obrazu potrafiły unieść tak nieszablono skomponowany materiał faktów, powieść stałaby się ciekawym compendium zjawisk nieubogiego w różnorodność możliwości czasu. Autor jednak zanałto zmonopolizował przedmiotową „epickość” narracji, nie rozbudował i nie uwierzył ciekawego scenariusza — w trosce może o to, co rozumie się tu w podtekście: o bezpośredni obraz wydarzeń przez życie samo bardziej wyeksponowanych ze swej strony dramatycznej niż psychologicznej.

Za mało też służy plastycznemu wymiarowi powieści jej strona formalno-językowa. Tu również znajduje się uzasadnienie trybu warunkowego w wypowiedzianym wyżej zdaniu o możliwości pozycji „Bezdroży”. Ich styl nie wynika z postulatu możliwie wnikliwego opisu, ale posługuje się szeregiem sygnałów w znacznej większości wystarczających, nienależycie zaś obdorzonych walorem emocjonalnym. Tu Lekkij — widać wyraźnie — odwołuje się w pośpiechu do znajomości u czytelnika w zakresie opisywanych przedmiotów i dzięki niej czuje się zwolniony od możliwości pełnej w szczegółach „adekwatności” opisu. Ale przez to jego powieść niepotrzebnie nabiera cech zbyt oschłej relacji służącej jak gdyby tylko do utrwalenia uchodzących z pamięci wydarzeń, a nie do ewokowania w całym swym koniecznym bogactwie

— i obyśmy go w takim repertuarze na scenie lubelskiej mogli oglądać.

Rola tytułowa przypada Janowi Machulskiemu, który wydobyl raczej miękko bohatera niż jego siłę wewnętrzną: zresztą skróty, modyfikujące postać, nie ułatwiały jej przekonywającego nakreślenia. Halina Machulska rzetelnie opracowała postać matki, ale nie nasycała jej w dostatecznym stopniu koniecznym tu ciepłem wewnętrznym. Teresa Mikolajczuk jako Elena mimo roli ubogiej w słowa dała sylwetkę sugestywną i przez cały czas „obecną” na scenie. Podobny komplement należy się Kazimierzowi Siedleckiemu, który stworzył postać skupioną, powściągliwą a mocną w wyrazie. Aktora Alvarę zagrał z dużą kulturą Janusz Cywiński. Stefan Buczek trochę sobie uprościł zadanie, wydobywając z postaci Luhana element, żeby tak rzec, folklorystyczny, gdy przecież w dramacie właśnie Luhanowi przypada nieblache zadanie reprezentowania Sztuki. Sylwetkę cynika wyzbytego zarówno skrupułów, jak intelektu zarysował wyraziście Jarosław Strzemię. Człowieka spodłonego przez strach zagrał przekonująco (zwłaszcza w scenach końcowych) Ludwik Paczyński. Fanatycznym ojcem Koronil był Ryszard Kolaszyński.

Scenografia Jerzego Toruńczyka wspięła z posępną atmosferą sztuki.

Spektakl na pewno warto zobaczyć, i — także na pewno — trzeba o nim dyskutować.

pisarskiej wizji. Zdarzają się nawet sformułowania („zaciął szczęki aż do bólu”, „obrzucił taksującym spojrzeniem”, „zaciążyły na nim zbrodnie faszystów”) dość utarte, nadużyte i wcale dobrego świadectwa nie wystawiające indywidualnym zamiarom stylistycznym, co przy tak niekonwencjonalnie skonstruowanej fabule tym bardziej razi. Zbyt wiele ufości samemu tokowi fabularnemu osłabiło wyczerpanie na efekt sugestywnego pisarskiego rzemiosła.

Z tym wszystkim jednak „Bezdroża” są wdzięczne w czytaniu. Jest to książka, której nie zostawi się w połowie. W przeciwieństwie do wielu wydanych pół- czy quasi-powieści, gdzie przewlekłość opisu fortunnie dokonano, ale mieszczącego zafalszowane i pretensjonalne perspektywy intelektualne, nie dostarcza zachęty do lektury. Głos czytelnika jest tu dość istotny, gdyż na niego właśnie, a nie na forum dyskusji o współczesnej prozie nacelowana jest powieść Lekkiego. Jeśli zaś z tej pozycji można wysuwać życzenia „na przyszłość”, to przede wszystkim wymienić tu trzeba większą dbałość o skończony i pełny kształt artystycznego wizerunku, o mocniejszy akcent na samej czynności kształtowania wyrazu. To na pewno będzie sojusznikiem dalszych osiągnięć lubelskiego pisarza.

Zygmunt Mikulski

CODZIENNIE O SZÓSTEJ

STANISŁAW K. PAPIERKOWSKI

P O kilku próbach takich, jak „Cień” czy „Achilles i panny”, zespół teatralny w Lubelskim Domu Kultury zdecydował się na inną formę w pracy teatralnej, na inscenizację tekstów niesencenicznych oraz piosenek. Start w tej dziedzinie to nigdy nie zapomniana „Podróż Bulwica do Ciemnogrodu” — sceniczna realizacja tekstu Galeszki; następnie pokazany interesujący montaż poezji francuskiej, do starczający wrażliwemu widzowi wielu głębokich przeżyć estetycznych i ostatnio niezabawne widowisko pt. „Codziennie o szóstej”.

Jest to śmiała i ambitna próba Zbigniewa Czeskiego, Jerzego Księskiego, Tadeusza Czuba i wieloosobowego zespołu wykonawców, przeważnie młodzieży szkolnej, nawiązania do kapitalnego „Kramu z piosenkami” Leona Schillera. Próba teatru jak najbardziej leżąca w możliwościach psychicznych i fizycznych młodych ochotników. Albowiem nie wieloaktowe widowiska gotowych utworów dramatycznych, ale właśnie inscenizacje niesencenicznych tekstów literackich i przede wszystkim piosenek — to, moim zdaniem, zdecydowanie właściwa treść i forma pracy teatralnej dla ochotniczych (amatorskich) zespołów teatralnych, zwłaszcza zaś zespołów młodzieży szkolnej.

„Codziennie o szóstej” jest widowiskiem, składającym się z trzech części. Pierwszą z nich stanowią fragmenty słynnego „Kramu z piosenkami” Schillera. Pokazano w tej części inscenizację piosenek: Bielany, Polka, Karuzel, Malarz maluje, Walek katarynkowy i Na poddaszu. Opracowanie i wykonanie zż do złudzenia przypominały Schillerowski „Kram z piosenkami”. A przecież trudno nawet przypuszczać, że inscenizatorzy, a zwłaszcza wykonawcy skopiowali widowisko wielkiego inscenizatora i reżysera oraz jego zawodowych wykonawców. W młodych wykonawców lubelskich doszły do głosu ich zdolności, ale przede wszystkim ich umiłowanie piosenek i pracy teatralnej.

Część druga widowiska, przenosząca nas z beztrzęsłych czasów przedwojennych w ponure lata hitlerowskiej okupacji, oparta jest na tekstach Z. Czeskiego i J. Księskiego oraz popularnych melodiach opracowanych muzycznie przez T. Czuba. Na treść tej części składają się piosenki: „Wrzesniowy spadł liść”, „Ferajna”, „Czy pani spłyna sama”, „Szmugiel”, „Piosenka gazeciarza” i „Chryzantemy”. Teksty dobrze dobrane, pomysłowo skomponowane w treściową całość raz po raz przywołują na pamięć koszarne lata okupacji, tylko że ich koszar zaprawiono tu beztręskim, to znów szubieniczym humorem.

W części trzeciej bawimy się, czasem z kłóciemy ze zjawiskami aktualnej, dzisiejszej rzeczywistości, którą w widowisku reprezentuje współczesne środowisko polskiej młodzieży, trochę chuligańskiej, trochę pseudodegustystycznej, ale w gruncie rzeczy milej i wartościowej. I, co najważniejsze, upominającej się o swoje słuszne prawa i właściwą pozycję społeczną. Składają się na ten raczej pogodny obrazek inscenizacje tekstów (Czeskiego i Księskiego) w muzyce (Czeskiego i Księskiego): „Proza poetycka”, „Piosenka chuligańska”, „Rumba”, „Hoola hoop”, „Rock and roll”, „Cza Cza Cza” i „Piosenka finalowa”.

Oceniając całość tego pysznego i barwnego widowiska, które bawią i wzrusza, stwierdzając kształci, z zarazem wychowawcze, należy, że skoordynowane wysiłki inscenizatorów i wykonawców nie poszły na marne. Widowisko jest bardzo dobre, warto było je obejrzeć. Choćby tylko dlatego, żeby przekonać się, jak godziwie spędza młodzież swój wolny od zajęć czas i jakie można osiągnąć wyniki, zwłaszcza wychowawcze, podejmując z młodzieżą serwową pracę teatralną.



Stanisław Mikulski (Izquierda) i Jan Machulski (Monserrat).

ZE SCENY LUBELSKIEJ

Pytania i odpowiedzi

EMMANUEL Roblès, autor „Monserrata”, urodził się i wychowywał podobnie jak Camus w Oranie. Młodszy o rok od autora „Dżumy”, należy do tego samego pokolenia pisarskiego i porusza się w podobnym kręgu poszukiwań formalnych oraz problematyki intelektualnej. Sztuka Roblès'a należy do utworów typu kreacyjistycznego: sytuacja, wpisana w ramę konkretnych wydarzeń historycznych, jest w istocie sytuacją umowną, służącą autorowi do wyakcentowania problemu. Problem ten można sformułować następująco: Czy wolno, czy należy dla dobra słusznej sprawy żądać od ludzi ofiary z życia, a raczej — czy wolno, czy należy nawet wbrew ich woli ofiarę taką egzekwować?

Pytanie takie jest typowe dla naszej epoki. Dotychczas ludzkość w teorii pytań takich sobie raczej nie stawiała, a w praktyce rozstrzygała je — niemalże nigdy! — jednoznacznie. Jak rozstrzygała, powiada ludowe przysłowie, stwierdzające z zimną krwią: „Gdzie drwa rąbią, tam trzaski lecą”. Pojedyncze, ludzkie istnienia to trzaski, lecące na porębach Historii. Dziś los „trzasek” zaczyna rysować nam się jako problem, ale problem, na który ludzkość na razie nie daje odpowiedzi jednoznacznej, a w każdym razie nie daje odpowiedzi powszechnie akceptowanej. Odpowiedzi takiej nie zawiera także sztuka Roblès'a, nie zawiera przynajmniej w pełnym swoim tekście, gdyż w przedstawieniu lubelskim tekst ów został wydawnie okrojony.

Cięcia i przestawienia, dokonane przez reżysera — Lecha Komarnickiego — poszły w dwu kierunkach. Reżyser przy pomocy dosyć radykalnych zabiegów osiągnął zdynamizowanie akcji i tym zmianom (aczkolwiek ofiarą ich padli częściowo także aktorzy...) z punktu widzenia widowni trzeba przyklasnąć. Interwencja istotniejsza dotyczy samego postawienia problemu i tu sprawa staje się bardziej dyskusyjna. Autor obwarował swe stanowisko pewnymi zastrzeżeniami i znakami zapytania. I tak na przykład Monserrat jest człowiekiem wierzącym w życie pozagrobowe, co niewątpliwie ułatwia mu podjęcie takiej a nie innej decyzji wobec współwziętniów, a powstańcy także dopuszczali się okrucieństw i ofiarą ich padł m. in. Izquierda. Eliminując to wszystko reżyser uprościł, ujednoznaczniał sprawę, która z natury nie jest ani prosta, ani jednoznaczna.

ANNA TATARKIEWICZ

D LA mnie osobiście z utworu Roblès'a płynie jeden zasadniczy wniosek: są pewne sytuacje antyludzkie, do których ludzkość w ogóle nie powinna dopuszczać. Monserrat w imię wyzwolenia milionów bierze na siebie śmierć sześciorga niewinnych (a właściwie ośmiorga, bo dzieci zamordowanej Matki zapewne także pomrą), ale ugina się przed perspektywą dalszych ofiar. I w tym naświetleniu inaczej staje przed nami problem i nasuwa się inna odpowiedź: Nie: W sytuacji przymusowej należy poświęcić niewinnych. Ale: Wysiłki ludzkości powinny zdążać ku temu, aby nie dochodziło do takich sytuacji przymusowych, aby nikt nie musiał dokonywać tak potwornego wyboru.

Zresztą obserwując reakcję widowni na „normalnym”, nie premierowym przedstawieniu, doznawałam wątpliwości, czy sztukę tę należało w Lublinie wystawiać. Jak dotychczas teatr lubelski — z przyczyn zresztą obiektywnych (jedna scena) — nie przyzwyczail publiczności do utworów dyskusyjnych. Otóż nie wydaje się, aby właśnie dramata, a raczej melodramata Roblès'a nadawał się do przecierania drogi. Można się obawiać, że bardzo wielu widzów odbiera „Monserrata” nie na zasadzie dyskusji intelektualnej, ale przede wszystkim na zasadzie szarpającego nerwu Grand Guignolu. A chyba nie o to teatrowi chodzi. W każdym bądź razie wydaje się, że sztuce, którą ogląda m. in. młodzież szkolna, warto by poświęcić kilka publicznych dyskusji, których dobra tradycja, nie wiem czemu, tak całkiem się w Lublinie zatraciła.

MONSERRAT” odniósł na festiwalu kaliskim sukces, do którego przyczynił się zarówno czysty kształt, nadany spektaklowi przez reżysera, jak — przede wszystkim może — znakomita robota aktorska Stanisława Mikulskiego w roli Izquierdy. W ujęciu Mikulskiego Izquierda nie był bestią w ludzkim ciele, ale raczej typem XVIII-wiecznego nihilistycznego „grand-seigneura” ze szkoły markiza de Sade, a zarazem jakimś bratem camusowego Kaliguli, pragnącego zmierzyć do dna ludzką podłość i własne okrucieństwo. Jest to jedna z najlepszych, a kto wie, czy nie najlepsza rola Mikulskiego, dowodząca, iż ten utalentowany aktor dojrzał w pełni do wielkiego repertuaru

KRAKOWSKIE SPOTKANIE

KRZYSZTOF DMITRUK

ALICJA Lisiecka przyjechała na II Zjazd Młodych Pisarzy Polskiej Poludniowej prosto z sesji naukowo-poświęconej Marii Dąbrowskiej. Wysłuchala referatu M. Stepienia. Wysłuchaczem młodej prozy polskiej o bohaterze „rzewnego” przemysłowca Stefana Otwinowskiego i kłopotach Stefana z kolei zabrala głos w dyskusji, powiedziała, że zaskoczyło ją podobieństwo obu imprez, jako że ja podobnie tam mówiono o „funkcjach narratora” oraz figurach stylistycznych. Powieć polega na tym, że miała ra-

krakowski zjazd młodych twórców właściwie przestał być spotkaniem regionalnych pisarzy, krytyków i działaczy kulturalnych, a stał się imprezą ogólnopolską. Obserwujemy niezwykle ciekawy proces polegający na przesuwaniu się centrum życia literackiego z Warszawy właśnie na południowy zachód. To zdanie, pochodzące z referatu J. Kajtocha i S. Stanucha („Doświadczenia i perspektywy współpracy ZMS ze środowiskiem literackim”), zostało później usunięte z tekstu uchwały, chociaż potwierdza ją je wydarzenia kulturalne kilku ostatnich lat. Powstały tu najciekawsze debiuty prozatorskie (Kłysz, Kraśniński, Stanuch), istnieje grupa oryginalnych poetów, których wpływ na najmłodszą poezję polską jest niewątpliwie duży. Kraków posiada chyba najbardziej prężne i aktywne środowisko literackie w Polsce. Na zewnątrz może nie wygląda ono tak efektywnie, młodzi pisarze krakowscy znajdują się w dużo trudniejszej sytuacji, niż np. ich warszawscy rówieśnicy. Pozbawieni są przede wszystkim własnego piśmnia, które związałoby ich silnie, dając szansę wypowiedzenia swoich wątpliwości, prowadzenia „ożywionych polemik i dyskusji”. Większość cennych inicjatyw musi więc rozpląnąć się w atmosferze kawiarnianych sporów.

W lutym br. powstał Zespół Literacki przy KW Związku Młodzieży Socjalistycznej, grupujący następujących twórców: M. Czuma, W. Faber, J. Kajtoch, K. Kleczkowska, R. Kłysz, T. Socha-Lisowska, R. Nowakowski, T. Nowak, S. Stanuch, T. Śliwiak, A. Wilkoń, J. Zych i E. Zechert. Zespół ten był organizatorem krakowskiego spotkania. Przyjmując zasadę nieingerencji w sprawy twórcze, ZMS potrafił skupić wokół siebie grupę zdolnych pisarzy i otworzył przed nimi ciekawą perspektywę dalszej współpracy. Rozpoczęto starania o utworzenie własnego piśmnia i wszystko wskazuje na to, że pismo takie niedługo powstanie.

W tej sytuacji poproszono mgr M. Stepienia, starszego asystenta Katedry Filologii Polskiej UJ o wygłoszenie referatu na temat młodej prozy. Referat był interesujący, napisany inteligentnie i oparty na doskonałej znajomości przedmiotu. M. Stepien dał pokaz rzetelnej roboty krytyczno-literackiej. Oczywiście nie ze wszystkimi spostrzeżeniami autora dyskutanci godzili się, ale bez wątpliwości referat przyczynił się do wysokiego poziomu obrad. Nie jest winą referenta, ani organizatorów, że zebrani spodziewali się innych problemów, że oczekiwali raczej wartościowania niż opisu. Re-

ferat pozostawił pewien niedosyt, ale wydaje mi się, że taki niedosyt pozostawiłby każdy referat i każda praca na temat młodej prozy, nie oparte na głębokim zaangażowaniu piszącego. Badacz literatury musi tu ustąpić miejsca publiczności, „krytykowi-wizjonerowi”, człowiekowi, który „prze-czuwa” dalsze losy literatury i ma odwagę nimi pokierować. Badanie „funkcji narratora” może być pro w a d z i e r ó w n o l e g l e. Niestety, takich krytyków nie mamy.

Wśród pokolenia młodych pisarzy panuje dezorientacja. Żenująco wypadają niektóre wypowiedzi, które obnażają zupełną pustkę i przerażający konformizm niektórych mówców. Większości wydaje się, że przeżywamy teraz okres rozkosznej stabilizacji. — O czym ma pisać młody twórca? — pytano. Zniknęły barykady. Komuniści nie muszą już z bronią w ręku walczyć o swoje wartości, kończą politechniki i budują wielkie elektrownie. Nie ma konfliktów i nie ma problemów. — Stoimy u wodopoju.

Dwa lata temu napisałem w „Kamieniu”, że literatura moich rówieśników zaczyna mi być obca. Okazuje się, że miałem prawo tak napisać. Obca jest także dla samych twórców. Maciej Patkowski powiedział na spotkaniu, że właściwie niewiele go obchodzi, co krytycy napiszą (i powie-dzą) o jego pierwszych książkach. Odszedł od nich tak daleko, że wy-dają mu się zupełnie „obce”. A przecież chodzi tu o książki wydane dwa i trzy lata temu. Skoro tak szybko autor utracił z nimi więź i woli się do nich nie przyznawać, to widocznie nigdy naprawdę nie były jego własne. Mogły w ogóle nie istnieć. Zapominają o nich szybko czytelnicy, a pomaga im w tym sam pisarz. Oczywiście pojawia się tutaj problem uczciwości i odpowiedzialności za słowo. Jest to sprawa dojrzałości pisarskiej, chodzi bowiem „o sprawę ludzką, o sprawę dojrzenia pisarza” — jak pięknie nazwał to Stefan Otwinowski. Próżno szukalibyśmy jej w wypowiedziach niektórych twórców. Na pytanie: O czym pisać, gdzie odnaleźć bohatera naszych czasów — Bohdan Drozdowski odpowiedział, że należy pisać o robotnikach, przy czym utwór zaangażowany i tak nie może być dziełem sztuki. Drozdowski przyznał się, że nie zna ani jednej książki głęboko zaangażowanej w problemy epoki i adresowanej do szerokiego kręgu odbiorców, która byłaby zarazem interesująca warsztatowo. Oczywiście książek takich Drozdowskiemu nie trzeba przypominać. O wiele bardziej niebezpieczne jest ciasne pojmowanie zaangażowania. Zaangażowanie znaczy dla niego tyle, co podjęcie pewnego typu tematyki, ściślej tematyki robotniczej (oczywiście mam na myśli tylko zjazdową wypowiedź Drozdowskiego). Dla innych będzie to problem chłopaki itd. Czas najwyższy zrozumieć, że zaangażowania nie można identyfikować z pisaniem o pewnych

aktualnych problemach i środowiskach. Stwierdzenie to brzmi banalnie, ale znamy już konformistyczne opowiadania o robotnikach, fałszujące naszą rzeczywistość. Ich wartość artystyczna była niewielka, ale także wątpliwa była uczciwość ideowa. Istotnym momentem jest tutaj stosunek do świata, do człowieka, pragnienie zrozumienia procesów i praw historii, znalezienie własnego miejsca w życiu, w społeczeństwie. — Pisarz nie może czekać na klucze do rzeczywistości — mówił T. Holuj. — Młodzi powinni sami tworzyć sytuację, jeżeli ich nie widzą w życiu. Nie chodzi wcale o pozytywnego bohatera. Nikt nie chce literatury „na TAK” tworzącej „na siłę” i odgórnie. Nie chodzi wcale o nowe laurki. Należy skończyć mówić z młodymi tylko o literaturze, czas mówić o życiu. Holuj wymaga od młodych pisarzy odwagi, ostatecznego zerwania z adresem burżuazyjnym, przestrzega przed zamknięciem się we własnym środowisku literackim. Jest to śmierć pisarza. Młodzi rzucają pracę, studia i wybierają zawód literata, zapominając, że ludzie odchodzą od literatury. Pisarz musi wyjść naprzeciw wielkiego świata, dojrzeć rzeczy ważne, dziejące się dookoła nas wszystkich.

W ten sposób został nazwany (i mimowolnie przez Hołuj zamknięty) główny problem tego interesującego zjazdu. Pisarze muszą od nowa poznać swój czas i swój świat. To rzetelne poznanie ma właśnie być podstawą prawdziwego zaangażowania. Nieprawda, że wielkie problemy skończyły się, skończyły się tylko dla dwudziestolletnich starszków, których nęci filisterski spokój ducha i mieszczańska stabilność.

I sekretarz Komitetu Miejskiego PZPR tow. Kure stwierdził, że partia czeka na poważną dyskusję z młodymi twórcami. Sytuacja dojrzała do tego, aby wyjaśnić sobie wzajemnie pewne sprawy, i dyskusja taka w końcu powinna zostać podjęta.

Może powstanie wtedy książka, na którą chyba wszyscy czekamy. Książka, która potwierdzi nasze istnienie, zwróci bohaterowi młodej prozy „jego ludzki świat”, tak niebacznie i bez troski mu odebrany przez młodych pisarzy.

ośb, a także przyczyniła się do podjęcia przez taniejszych mieszkańców hasła „Naj-czyściej wiesz w powiecie”. Godne podkre-szenia są wyniki, jakie przyniosła współpraca bibliotek z kolami ZMW w powiecie ja-nowskim, bychawskim i kraśnickim. Duże zainteresowanie słuchaczy wzbudza-ły pogadanki oraz konkursy typu „zgdaj-zgadula” z dziedziny historii i geografii. W Białej Podlaskiej Powiatowa Biblioteka wraz z WTP przeprowadziła cykl prelekcji dotyczących powstania styczniowego w po-wiecie białskim. Prelekcje takie odbyły się w PZGS, GS, Zakładach Przemysłu Drzew-nego i PSS. Sporo wykładów o początkach państwa polskiego odbyło się na terenie po-wiatu bełżyckiego. Filia nr 1 WIMBP w Lu-blinie zorganizowała konkurs na temat zna-jomości wydarzeń z okresu drugiej wojny światowej. Zakończenie konkursu odbyło się w formie „zgdaj — zgaduli”.

Ożywiły się prace o charakterze regiona-listycznym. Na czoło w tej akcji wysuwa się powiat lubelski, lubartowski, puławski i białski. W lubelskim wymiennie należy an-kieta regionalna „Poznajmy powiat i wo-jewództwo lubelskie” oraz konkurs na naj-lepiej urządzony kącik regionalny w biblio-tece gromadzkiej, a w lubartowskim kon-kurs „Lubartów i Ziemia Lubartowska” oraz przygotowanie do druku popularnego przewodnika po tamtym terenie.

Szczególnym powodzeniem u czytelników i uwaga u organizatorów cieszyły się zje-cia związane z propagowaniem techniki. Ten dział konkursu ogólnopolskiego na terenie województwa lubelskiego przybrał postać bardziej szczegółowo określonej hasłem: „Technika w życiu cod-ziennej”. Prawie wszystkie biblioteki powiatowe w ramach szkoleń, a także poza nimi zorganizowały wykłady połączo-ne z interesującymi doświadczeniami i po-kazami. W Białej Podlaskiej odbyły się prelekcje na temat radiotechniki i telewizji, w Bibliotece w Chełmie w programie szko-leń uwzględniono sprawy mechanizacji i mo-toryzacji. W 5 bibliotekach gromadzkich powiatu lubelskiego przeprowadzono pre-lekcje na tematy „rozwój techniki”, „elek-troniczność w życiu człowieka”, „loty kos-miczne” itp. Biblioteki gromadzkie w po-wiecie opolskim opracowały niemniej pomo-cy naukowych. Z ciekawszych wymień należy lunetę (umożliwiają oglądanie krater-ów na Księżycu) wykonaną przez zespół czytelników w Wilkowie.

Na terenie szmego powiatu lubelskiego do konkursu technicznego przystąpiło 350 osób, z czego 58 proc. stanowili robotnicy, a 17 proc. młodzież szkolna.

W czasie trwania konkursu przy zaku-pach bibliotecznych zwrócono szczególną uwagę na pozycje z literatury popularno-naukowej. Wzrosła też jej popytność. Hość wyprzedziła w tym dziale w roku 1960 powiększyła się o 31,5 proc. w porównaniu z rokiem 1959, a w roku 1961 — o 34,5 proc. w porównaniu z rokiem 1960.

Tematem, który do programu konkursu wszedł w ostatnich miesiącach jest XX rocznica Polskiej Partii Robotniczej. Wszystkie biblioteki gromadzkie powiatu lubelskiego przygotowały zestawy bibliogra-ficzne dla miejscowego aktywu partyjnego oraz sporządziły wystawki i grzeczki tema-tyczne. Biblioteka Powiatowa wspólnie z Wydziałem Kultury PPHN zorganizowała konkurs recytatorski. Zespół młodzieży przy Bibliotece Miejskiej w Świdniku, prowa-dzony przez instruktora Biblioteki Powia-towej, przygotował montaż literacki dla środowiska własnego i innych miejscowości powiatu.

Biblioteka związkowa Związku Zawodo-wego Pracowników Handlu i Społdzielczości utworzyła u siebie punkt konsultacyjny, prowadzony przez przedstawiciela KW PZPR, biblioteka związkowa przy FSC or-ganizowała połączone z projekcjami filmo-wymi odczyty na temat walki z gruźlicą, wychowania i pochodzenia religii, bibliote-ka przy ZWSI urzędu „czwartkowe” pogad-anki z udziałem dziennikarzy, literatów, publicystów i blaskawymi konkursami w zakresie poruszanych zagadnień.

Lubelski Dom Kultury skoncentrował ak-cje konkursowe głównie na tematach: zasa-dy socjalistycznej, historia Lubelszczyzny, higiena i wychowanie, cybernetyka i auto-matyzacja. Komitety powiatowe ZMS or-ganizowały wykłady ujęte w cykl: „z techn-iką na ty”, „naukowy pogład na świat”, „problemy materializmu dialektycznego i historycznego”, „problemy kulturalne współczesnego człowieka”.

Dom Książki urządził 6 kiermaszy książ-kowych w Lublinie, 33 — w miastach po-wiatowych i 91 stoiska z książkami na wsiach.

Wymienione fakty nie dają — rzecz na-turalna — nawet w przybliżeniu obrazu ca-łości osiągnięć uzyskanych w czasie kon-kursu „Wiedza pomaga w życiu”, sygnali-zują jednak pojawienie się no-wych punktów w topografii kulturalnej lubelskiego wo-jewództwa.

Zofia Mikulska

Fot. J. Urbanowicz

ROK PLASTYKI W MUZEUM LUBELSKIM

(Dokończenie ze str. 9)

Aleksander Gryglewski i Wojciech Gerson.

Wiek XX posiada bardzo interesują-cą dokumentację i to zarówno z kierunków przypadających na dwu-dziesiąte i trzydzieste lata naszego stu-lectwa, jak i różnorodnej twórczości współczesnej. Bogata lista nazwisk sygnalizuje jednocześnie rozpiętość prądów artystycznych, których wyrazi-cielami byli poszczególni artyści. Wystawa przedstawia więc m. in. mar-larstwo Zbigniewa Pronaszki, Roma-na Kramsztyka, Eugeniusza Eibischa, Jerzego Fedkowicza, Marii Jaremy, Tadeusza Kantora i wielu innych. Kil-ka zakupionych prac, jak np. portret malowany przez Bolesława Cybisa czy pejzaż Edwarda Czapskiego, stanowi pozycje rzadkie i przez to zasługuje również na uwagę.

Drugą część zakupów Muzeum stan-owią bądź obrazy o tematyce lubel-skiej, bądź też twórczości nieżyjących artystów lubelskich. Znalazły się tu-żaj pejzaże z Kazimierza n/Wisłą Ja-na Wydry, obrazy formistyczne Sta-nisława Zaleskiego, wreszcie obrazy

Trachtera, Pieniążka i Romualda Ko-nonowicza. Wszystkich tych, którzy rozmiłowani są w urodzie naszego miasta, powinien także zainteresować pokaz rysunków, akwarel i grafiki poświęconych Lublinowi, a wystawio-nych z okazji Dni Lublina. Jest to również, jak już wspominałam, prze-gład prac zakupionych w ostatnim pięcioleciu, dlatego też wystawa nie obejmuje wielu cennych pozycji, zakupionych już wcześniej i w latach poprzednich eksponowanych. Cały zresztą zbiór rysunków i grafiki o te-matyce lubelskiej, którego kompleto-waniu Muzeum poświęca wiele uwa-gi, zawiera już blisko 1000 pozycji.

W pokazie na czołowe miejsce wy-suwa się autolitografia Leona Wy-czółkowskiego, odznaczająca się świet-nym rysunkiem i dużą oryginalnością w odtwarzaniu poszczególnych frag-mentów architektonicznych naszego miasta. Na uwagę zasługuje również wspaniała grafika Józefa Toma, drze-woryty Maksymiliana Brozka oraz prace artystów lubelskich, nieustannie utrwalających nieprzemijające piękno Lublina.

Organizatorzy sądzą, że obie wysta-wy spotkają się z zainteresowaniem i przyczynią się do dalszej populary-zacji spraw plastyki w społeczeństwie lubelskim.

Irena Iskrzycka

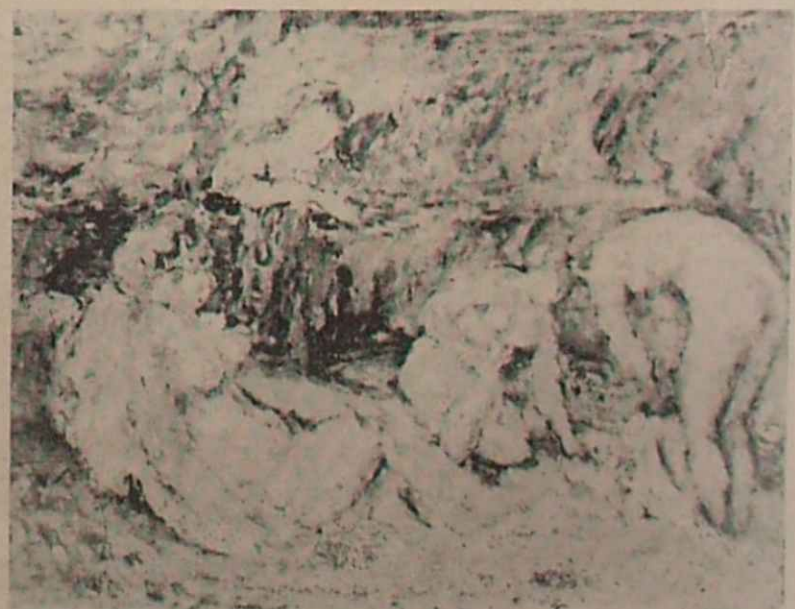
WIEDZA POMAGA W ŻYCIU

(Dokończenie ze str. 11)

Spśród konkursów zasługuje na wyróż-nienie konkurs na najlepsze czytelnika książek pszczelarskich i na najlepiej za-leczone poradniki pszczelarskie bibliotekę gromadzką w powiecie opolskim.

W toku realizacji założeń konkursowych w dziedzinie higieny spopularyzowały się także ośrodki zorganizowanego krzewienia kultury sanitarnej, jak szkoły zdrowia. Powstawały one dzięki ściślejszej współpracy kół ZMW z bibliotekami, lub — jak w po-wiecie lubelskim — dzięki samym biblio-tekom. W tym ostatnim powiecie jest ich 28. „Przybiblioteczna” szkoła zdrowia w Przewlocie (powiat parczewski) przeprowa-dziła kurs higieny, z którego korzystało 61

Karol Lariach — Scena w kąpielni.



ZWYCIĘŻYLIŚMY TRUDNOŚCI

(Dokończenie ze str. 12)

stkim, jak wiadomo, koncertowania w samym Lublinie. Przymusowe zamknięcie sali powiększyło koszt naszej działalności o czynsze związane z wynajmem sali: w teatrze na koncerty i w Zamku na próby. Mimo tych trudności plan wykonaliśmy z nadwyżką, a to w istniejących warunkach jest niewątpliwym sukcesem. Plan audycji szkolnych i koncertów symfonicznych w miastach powiatow-

wych nie był zagrożony i muszę dodać że zwiększyło się wykonanie w stosunku do lat ubiegłych. Niemala trudnością, jeśli mowa o tym, było nawiązanie kontaktu ze studującą młodzieżą. Wszelkie próby w tym kierunku się nie udają. W sumie jednak trudności zwyciężyliśmy.

— **A plany na przyszłość?**
— Rozszerzenie międzywojewódzkiej współpracy o takie miasta, jak Olsztyn, Opole, Częstochowa, Wrocław i Łódź, nawiązanie kontaktu opartego na wzorze FSC ze Świdnikiem i Poniatową i zorganizowanie do 1964 roku małego muzeum, a właściwie izby pamiątek naszego Patrona Henryka Wieniawskiego.

— **Zyczenia?**
— Oby nowy sezon 1962/63 rozpoczął w odrestaurowanej sali koncertowej.

Rozmowę przeprowadziła Alicja Dmowska

5 lat w służbie książki

(Dokończenie ze str. 8)

Odp.: Oczywiście tak. Lubelska Spółdzielnia Wydawnicza została powołana przede wszystkim do wydawania „Kuriera Lubelskiego”, a następnie prowadzenia działalności usługowej w zakresie prac poligraficzno-introligatorskich. Produkcja książek była więc jedną z trzech podstawowych form działalności LSW. Stąd też efekty ilościowe książek musiały być proporcjonalnie mniejsze niż możliwości zespołu redakcyjnego. Mimo to jednak takie pozycje, jak „Dziennik z lat okupacji” — Zygmunta Klukowskiego czy „Album” — Zenona Konowicza, dają piękne świadectwo działalności tej młodej placówki w ówczesnym okresie.

Pyt.: O ile orientują się, WL w najbliższym czasie wyda swoją setną książkę?

Odp.: Jubileuszową pozycją naszego wydawnictwa będzie tom wierszy Józefa Czechowicza, na który złożą się utwory oryginalne i przekłady poetyckie. Termin wydania książki — lipiec br.

Pyt.: Czy możliwe jest podsumowanie w przybliżeniu dotychczasowego dorobku WL?

Odp.: Nakład dotychczasowych książek zamyka się cyfrą około 700 tys. egzemplarzy, a wartość ich wynosi około 8 mln zł. W samym 1962 roku oddanych zostanie do rąk czytelników blisko 60 tytułów, o objętości około 500 arkuszy wydawniczych i nakładzie ponad 250 tys. egzemplarzy, a wartość ich wyniesie ponad 3 mln zł.

Pyt.: Podczas ostatniego mego pobytu w Warszawie byłem mile zaskoczony, że wśród 2 tysięcy wydawców z całego świata znalazło się również Wydawnictwo Lubelskie. Jak należy ocenić efekt VII Międzynarodowych Targów Książki, które odbyły się w Pałacu Kultury i Nauki w dniach od 19—27 maja?

Odp.: WL wzięło w tej imprezie udział po raz pierwszy. Myślę, że nie będzie przesadą, jeśli powiem, że debiut nasz przyniósł poważny sukces w postaci zebrania szeregu zamówień na książki, nawiązania kontaktów z wydawcami zagranicznymi, zwłaszcza z ZSRR. Niezależnie od tego nawiązaliśmy współpracę z nowymi autorami. Jednak najbardziej przyjemne jest to, że nasze stoisko cieszyło się dużym zainteresowaniem ze strony zwiedzających.

Pyt.: Jakie plany na przyszłość ma WL?

Odp.: Mamy już opracowany profil naszego wydawnictwa, jak również projekt tytułowy planu na 1963 rok. Do najciekawszych pozycji, jakie zostaną wydane, zaliczyć należy: Pa-

miętniki powstańców z 1863 r. na Lubelszczyźnie (pozycja przygotowana specjalnie dla uczczenia 100 rocznicy Powstania Styczniowego) — praca zbiorowa, Album poświęcony Rucho- wi Oporu i martyrologii Ziemi Białostockiej — praca zbiorowa, K. A. Jaworski — „Wspomnienia chełmskie” (pozycja ta ukaże się z okazji 30-lecia „Kamenu”) oraz szereg innych pozycji o tematyce związanej z województwami: białostockim, kieleckim, lubelskim i rzeszowskim.

Rozmowę przeprowadził Z. K.

NOTY

WIELKI FILOZOF, LOGIK I MATEMATYK ANGIELSKI, walczący o zniszczenie broni atomowej, powszechne rozbrojenie i pokój między narodami, Bertrand Russel 18 kwietnia br. skończył 90 lat.

KLASYCY LITERATURY AMERYKANSKIEJ według listy ułożonej przez profesorów uniwersytetów kalifornijskich: Saul Bellow, T. S. Elliot, Faulkner, Hemingway, Robert Lowell, Artur Miller, R. P. Warren, Salinger, Wallace-Stevens, William Styron, Richard Wilbur i Tennessee Williams.

NA DOMU, W KTÓRYM MIESZKAŁ I ZMARIŁ Guillaume Apollinaire, umieszczono tablicę pamiątkową. Gzeton Picon przemawiając na tej uroczystości powiedział, że „poezja autora „Alkoholów” jest jak okno szeroko otwarte na głosy życia”.

WYBITNY PISARZ EKWADORSKI Miguel Angel Asturias, który mieszkał w Buenos Aires, został uwieczniony przez policję argentyńską.

„**WSPÓŁCZESNOŚĆ**” z okazji „podpisania programu kulturalnego między zaprzyjaciłymi od wieków krajami” — Włochami a Polską wydała specjalny numer poświęcony literaturze włoskiej. Inicjatywie tej należy przyklasnąć. Ładnie pomysłało umieszczenie na pierwszej kolumnie przekładu Quasimoda miekiewiczowskiej perelki „Polacy się żyją”. (Okazała się nieprzetłumaczalna: jak błąd brzmi to po włosku). Pomysłowe operowanie przy tytułach barwami narodowymi — zieleni, biel i czerwieni na pierwszej i ostatniej kolumnie, ale czemu w zestawieniu poziomym, a nie pionowym? Treść na ogół dość bogata: widac wysiłek redakcji. Piszą i autorzy włoscy. Ale upomnielibyśmy się o nieobecnych poetów: Corazziniego, Sofficiego, Palazzeschiego, Jahiera. Małeńka uwaga pod adresem J. Z. Słowieskiego, który przeprowadził wywiad z prof. Mieczysławem Brahmmerem na temat kultury włoskiej. Niech się zawstydydzi, że w stosunku do tak świetnego pisarza, jak Papini („Pamiętniki Pana Boga”), „Tragedie powszednie”, „Zwierzenia” i in.) użył określenia „grafoman”.

„**PRZEKRÓJ**” wciąż uważa swych czytelników za strasznych nieuków: w ostatnich numerach proponuje im wzbogacenie słownika takimi wyrazami, jak „szysz”, „libretto”, „kwirynał”, „sztampa” czy „hegemon”.

W „**LOKAJU PANA HRABIEGO**” Aleksandra Olszewskiego mowa jest o „ciemnych płótnach mistrzów średniowiecza”, które „drgały życiem” w lańcuckiej galerii obrazów hr. Potockiego, gdy lokaj zapalił światło (str. 118). A w następnym zdaniu dowiadujemy się, że tymi mistrzami średniowiecza byli Rubens, Tycjan, Rembrandt, El Greco i Velasquez. No, no... Czy to złożyć na karb znawstwa lokaja czy autora?

UMIEJĘTNOŚĆ NADAWANIA WŁASCIWYCH TYTUŁÓW wzmiankom dziennikarskim nie jest rzeczą łatwą. Przede wszystkim tytuł musi być zwięzły, trafny i sensowny, czego nie można powiedzieć o tytułach związanych z informacją o ukazaniu się nakładem Wydawnictwa Lubelskiego „Wierszy wybranych” Wacława Mrozwoskiego i wywiadem przeprowadzonym z poetą („Kurier Lubelski” nr 116 br.). Dlaczego Mrozwoski, który w Łodzi i Warszawie wydawał swe poprzednie zbiorki, a w

NA POMNIK CZECHOWICZA

Z inicjatywy Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich powołany został Społeczny Komitet Budowy Pomnika Józefa Czechowicza

Pomnik, ufundowany ze składek społeczeństwa i instytucji naszego miasta, stanie na placu przed gmachem Pałacu.

Podajemy konto Społecznego Komitetu Budowy Pomnika: PKO Lublin Nr 3-9-6722, na które prosimy wpłacać datki na pomnik Poety.

KSIĄŻKI NADESLANE

WYDAWNICTWO „ISKRY”

Paweł Jasienica — Tytko o historii, Warszawa, 1962 r.

Carmen Laforet — Żłuda, przełożyła Kalina Wojciechowska, 1962.

Roman Sliwonik — Różewienie rąk, wiersze, 1961

Malgorzata Hilar — Krople słońca, wiersze, 1961

Jerzy Krasicki — Z tej samej gliny, 1961

Edward Hilda — Wypadek na zakręcie, 1961

Anatol Stern — Zabawa w piekło, 1961

WYDAWNICTWO

„NASZA KSIĘGARNIA”

Geza Hegedus — Zeglaz z Miletu, przekład Kamilla Mondrel, 1961

Gleb Antłow — Sztuczne słońce, tłum. z rosyjskiego Tadeusz Twardowski, 1961

Rosemary Sutcliffe — Szkarłat wojownika, tłum. z angielskiego, Ludmila Dunikowska, 1961

Gianni Rodari — Podróż błękitnej strzały — tłum. Zofia Ernstowa, 1961

Carl Dantz — Nazywam się Pietrek Stoll — tłum. Adam Szmaper, 1961

Voja Teric — Abar, tłum. Halina Kalita, 1961

NOWY ODBIORCA

(Dokończenie na str. 9)

miar stwierdzili, że kryteria takie są przebrzmienie w odniesieniu do sztuki naszej epoki.

A więc zmiany w poglądach, ocenie i wartościowaniu doświadczeni. Coraz szersze rzesze odbiorców żądają malarstwa zaangażowanego w specyficzną rzeczywistość, sztuki, która wyrazi konflikty i zjawiska właściwe naszym czasom językiem współczesnym. Więcej wystaw dobrego malarstwa nie tylko w metropoliach, ale i na prowincjach, które przestały być prowincjonalne, więcej odczytów, broszur, katalogów, więcej popularyzatorskich artykułów — oto prawdziwe „zamówienie społeczne”.

Krystyna Dajbor

O czym pisała „Kamena” przed 25 laty

Majowo-czerwcowy podwójny nr 29—30 „Kamenu” (rok 1937) był w całości poświęcony współczesnej literaturze słowackiej i zawierał specjalnie napisany dla „Kamenu” artykuł Andrzeja Mrożka o powieści słowackiej, fragment „Zwego bieża” Mila Urvana (tłum. Antoni Brosz), wiersze piętnastu poetów (Lanka Jusensky, Emil Holeslaw Lukacz, Františ Kral, Jan Kob Ponlezen, Jan Smrek, Martin Razus, Vladoř Růžko, Masza Halanova, Valentin Beniak, Jožo Niznansky, Laco Novomesky, Ludo Ondrejov, Andrej Žarnov, Pavel Hbina i Rudolf Dilong) w przekładach Antoniego Brosza, Zdzisława Kempfka i K. A. Jaworskiego. Noty bio-bibliograficzne dotyczące tych poetów zebrał „antbr”. Słowackie czasopisma omówił Antoni Brosz. Nr uzupełnienia informacja o powstaniu w Warszawie Towarzystwa Przyjaciół Słowaków im. Ludovita Štúra, kronika słowacka i noty. Trzy wkładki ilustrowane Zenona Wasniewskiego: portrety poetów Jana Smreka, Laca Novomeskiego i Rudolfa Dilonga.

„Kamenu” zamieszczał nieraz wiersze, ma być „poeta odkrytym” i to jeszcze „na nowo” (chyba dla autora notatki „Poeta na nowo odkryty”)? Dlaczego wywiad ma tytuł „Na wieczorze poetyckim poznał swoją kuzynkę”, o czym dziennikarz wspomina tylko mimochodem zaznaczając: „ale nie o tym rozmawialiśmy z Wacławem Mrozwoskim”. Więc po co? Żeby było bardziej sensacyjnie?

Z **ZOOLOGIĄ NA BAKIER**, w n-rze 122 (27 maja br.) „Kuriera Lubelskiego” znajdujemy na pierwszej stronie zdjęcie autentycznego pingwina z dziobem, stojącego na dwóch nogach. Fotografii zopatrzone następującym „objasnieniem”: „Krajobraz Antarktydy utrzymany w tonach czarnobiałych nie robi wrażenia na dostojnie spacerującej flocie” (sic!). Zdjęcie z tym podpisem nadesłano z Warszawy (Fot. — CAF), ale przecież nietrudno było ten nonsens skorygować.

-kaj-

CZYNYM SPOŁECZNYM

(Dokończenie ze str. 2)

reg innych prac, których wartość oblicza się na około pół mln zł. Ogółem wartość prac wykonanych w czynnie społecznym na terenie Lublina w 1961 r. przekroczyła 6 mln zł.

Plan Miejskiego Komitetu Czynów Społecznych w Lublinie na najbliższe lata jest w zasadzie ustalony. Największą inwestycją realizowaną w przeważającej większości czynnie społecznym jest zalew zemborzycki. Koszt tej inwestycji przekroczy 100 mln zł. W kosztach partycypują lubelskie zakłady pracy, instytucje i urzędy.

Lublin z roku na rok staje się piękniejszy. Dziś czyni społecznie stanowią poważne uzupełnienie działalności inwestycyjnej miasta. Mamy jeszcze bardzo dużo do zrobienia. Tylko wspólnym wysiłkiem Miejskiej Rady Narodowej, Miejskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu, Miejskiego Komitetu Czynów Społecznych i mieszkańców Lublina przyspieszony może być rozwój miasta.

Nie sposób wymienić wszystkich akcji i czynów społecznych mieszkańców Lublina. Ale warto wiedzieć, że każda inicjatywa ludności zostanie przez państwo na pewno poparta i znajdują się odpowiednie fundusze na kontynuowanie prac zapoczątkowanych w czynnie społecznym.

Zenon Kwaśniewski

Ceterum censeo

Dłuższa choroba uniemożliwiła mi na pewien czas kontynuowanie tej rubryki. Ale czytając książki i periodyki, zbierałem w łóżku materiały do niej. Najbardziej fryzury małe błędy językowe poetów. W przekładzie wiersza Guyla Ilyesa „Zona”, zamieszczonym w n-rze 57 „Expressu Włocławskiego”, z przerażeniem przeczytałem: „Po co tylko bym nie sięgnął, wszystko się rozdawa”, a w n-rze 17 „Świata” poeta, stale drukujący w tym tygodniku, beztrosko zaczyna wiersz „Nie święci” w ten sposób: „Obok królestwa ptaków nie niebieskich a szarych...” Inny poeta w „Nowej Kulturze” (nr 15) w wierszu „Spotkanie” pisze: „dwa szczenięta”.

Całe inwizje błędów językowych zebrałem w przekładzie powieści Somerset Maugham „Księżyc i miedziak” (Wyd. Pomorskie). Turmożna kłopotu utworu z uporem godnym lepszej sprawy wciąż powtarza „za wyjątkiem” (str. 21, 43, 192, 208), „tym niemniej” (str. 57, 53, 139, 185), „jak daleko by nie uciec!” „gdziekolwiek się nie ukrył” (str. 217), „gdziekolwiek go losy nie zagnały” (str. 273), „więcej jak, większa jak” (str. 15, 262), „bez reszty” (str. 191), „zakładając maszkę” (str. 195), „owocem studiowania którego” (str. 281), „nie obchodzącem ja” (str. 192). No, chyba starczy. Czy wydawnictwo nie ma adiutorów?

W n-rze 20 „Świata” poeta, autor rubryki „Ludzie i książki”, pisze o uroczystościach „w okrągłą rocznicę matury” (str. 15), a w n-rze 17 tegoż tygodnika świetny prozak wspomina o „całym okrągłym roku”. Więc co? Mamy się umówić, że w tych przykładowych „okrągły” nie jest rusycyzmem? W „Nowej Kulturze” (nr 15) w artykule „Potrzeba literackiej edukacji” znalazłem już nie błąd, ale całego byka: „pomyślałem o wielu moich przyjaciółkach”. Znamy pisarz w swych wspomnieniach (nr 16 „Przeglądu Kulturalnego”) stosuje niewłaściwie biernik po przeczeniu: „ani myślałem to czynić”, a w n-rze 18 „Zycia Literackiego” w rubryce „Z kraju” autor pisze: „oczekują widzowie na „Matkę i córkę”.

Skoro na taką nonszalancję pozwalają sobie grubsze ryby, trudno się dziwić, że w lubelskiej „Kulturze i Życiu” (z dn. 15 kwietnia) w dziale „Cegła czy bestseller” czytamy: „co by nie napisać na konto prób stylistycznych, książka jest zbiorem... a przy omawianiu łódzkiego „Tygla” takie rosyjskie zdanie: „daleko byłoby nie kompletny”.

Uff! Trochę mi ulżyło. — Ale „nec Hercules contra plures”. Gdybyż i inne nasze pisma literackie zabrały się do tępienia błędów językowych! A jednak: „Ceterum, censeo linguam nostram esse purgandam”.

Caius